

Nr. 1026—1028.

BIBLIOTEKA POWSZECHNA

SZEKSPIR



FIGLE KOBIET.

(WESOŁE KUMOSZKI WINDSORSKIE.)

Komedja w 5 aktach.

Przekład
Józefa Paszkowskiego.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
W KAŻDEJ KSIĘGARNI.



SZEKSPIR



FIGLE KOBIET.

(WESOŁE KUMOSZKI WINDSORSKIE.)

KOMEDJA W 5 AKTACH.

PRZEKŁAD

JÓZEFA PASZKOWSKIEGO.



ZŁOZÓW

NAKŁADEM I DRUKIEM WILHELMA ZUKERKANDLA



FUW0473659

Zbiory specjalne

OSOBY:

Sir DŻON FALSTAF.

FENTON.

SZALLOW, sędzia pokoju.

SLENDER, siostrzan Szallowa.

WUD } obywatele Windsoru.
PAŻ }

WILJAM, synek Pazia.

Dr. KAJUS, lekarz francuski.

Sir HUGO EWANS, ksiądz walijski.

WŁAŚCICIEL gospody pod Podwiązką.

BARDOLF.

PISTOL.

NYM.

ROBIN, paź Falstafa.

SYMPEL, sługa Slendera.

RUGBY, sługa Dra Kajusa.

Miss WUD.

Miss PAŻ.

Miss ANNA PAŻ, jej córka.

Pani KWIKLI, sługa Dra Kajusa.

Słudzy Pazia, Wuda i inne osoby.

Rzecz dzieje się w Windsorze i jego okolicy.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Windsor, przed domem Pazia.

Szallow, Slender i Sir Hugo Ewans.

Szallow. Nie odwódz mnie waćpan od tego, sir Hugonie; wytoczę mu kryminalny proces. Choćbym miał do czynienia z dwudziestu sir Dżon Falstafami, pokażę mu, co to jest Robert Szallow, sędzia —

Slender. Pokoju w hrabstwie Gloster i *coram*.

Szallow. Dobrze mówisz, Slenderze i *custosolorum*.

Slender. Ba, ba i *ratolorum*. Do tego urodzony szlachcic, mości Parsonie, który się pisze *armigero*, na wszystkich aktach i poświadczeniach, kwitach i obligacjach, *armigero!*

Szallow. Tak, tak, praktykujemy to już bez przerwy od lat trzystu.

Slender. Wszyscy sukcesorowie, którzy go poprzedzili, podpisywali się tak, i wszyscy antecesorowie, którzy po nim przyjdą, tak samo się podpisywać będą.

Ewans. Wszystko to jetno. Jeżeli sir Dżon Falstaf skrzeczył wskłętem waz, ja jezd człofiek ot koszcioła i pęde kontent zrobicz tam przysługa, pokocicz waz na droga kompromizu.

Szallow. Izba musi o tem słyszeć; to istny gwałt.

Ewans. Nie fypada Ispa słyszycz kfałt; i kfałt nima pojażni porżej. Ispa, wydrży wazpan, łupi pojażn porża, a nie kfałt: weż to sobie wazpań za wizament.

K109/80/117226

Szallow. Ha! niech nobym tylko odmłodniał! jakem Szallow, mieczby rozstrzygnął tę sprawę!

Ewans. Lepi rzepty przyjaciel pył miecz i tę sprawę rozsikał! Jezd przy tem jeszcze inny mysł f kłofa, s którego moką wiszcz topre ekskrementa. Jezd tu panna Hanna Parż, córka Krżekora Parż, który jezd falna dżefczyzna.

Slender. Anna Paż, ta czarnowłosa czechotka z cienkim kobiecym głosem.

Ewans. To jezd właśnie taki ozopa, jaki ziostrzan fasz potrzepuje. Jej dżedek zapisał jej na śmiertelnem łorzu ziedemset funtuf f moneta, słoto i srepro, które otpierze, jak pędzie miecz s tytu ziedemnaszcie łat. Toprze by to bylo poruszycz fszystkich sprżczyn i skojarżycz małżzeństwo między pan Apraam, a panna Hanna.

Szallow. Czy doprawdy dziadek zapisał jej siedmset funtów?

Ewans. Yes, a ojciez sfuntuje ją jeszcze lepi.

Szallow. Znam tę dziewczynę; ma ona dobre przymioty.

Ewans. Ziedemset funtuf i dzieciczna morzeponość to jezd topry przymioty.

Szallow. Zapewne. Idżmy odwiedzić szanownego jej ojca. Niema tam czasem Falstafa?

Ewans. Miałrżepy ja łkacz? Nienafidze łkania tak jak nienafidze fałsz i nieprafda. Wruk fasz, sir Dżon, jezd tam; ale zaklinam wazpan, chszej posłuchacz strofych rat. Ja idę zapukacz do trżfi pan Parż. Puka. He! ho! Niech Puk płokosławi fasz tom tu!

Paż wychodzi z domu.

Paż. Kto tam?

Ewans. Płokosłafieństwo porze i fasz przyjaciel; a tu sędża Szallow i młoty imcz pan Slender, który morże tam pofi inną zetrz, jeszeli zetrz ta się tam podopa.

Paż. Cieszę się, że waszmość panów oglądani w dobrem zdrowiu. Dziękuję panu za moją zwierzyne mości sędzio.

Szallow. Mości Paziu, cieszę się, że waszmość pana oglądam. Serdeczność ta godną jest jego serca; ale zwierzyna pańska mogła być lepszą: nieszczęśliwie była strzelaną. Jakże się miewa cna Miss Paż? — Mości Paziu, zachowuję waćpana w mojem sercu, dalipan w mojem sercu.

Paż. Dziękuję waćpanu dobrodziejowi.

Szallow. I ja waćpanu nawzajem. Na honor, w każdym razie, bardzo dziękuję.

Paż. Cieszę się z oglądania waćpana, miły panie Slender.

Slender. Jak się ma ten wasz płowy chart, mości Paziu? Słyszałem, że został prześcignięty pod Kotsal.

Paż. Jeszcze to potrzebuje potwierdzenia.

Slender. Nie chcesz się pan przyznać, nie chcesz się przyznać.

Szallow. Tego on nigdy nie zrobi. — Pańska to wina, pańska to wina: — to dobry pies.

Paż. Kundys, panie.

Szallow. Gdzie tam! to dobry pies i piękny pies; można więcej powiedzieć: dobry pies i piękny. Czy jest u waćpana Dżon Falstaf?

Paż. Jest, panie. Radbym panów skłonić do porozumienia się i pojednania.

Ewans. O tużr to pofiedzenie po krystjanskiemu!

Szallow. On mnie skrzywdził, mości Paziu.

Paż. To i przeprosi.

Szallow. Przeprosiny nie zmywają winy, mości Paziu: nieprawdaż? On mnie skrzywdził; naprawdę skrzywdził; krótko mówiąc, krzywdę wyrządził. Możesz mi waćpan wierzyć. Robert Szallow, sędzia, mówi, że pokrzywdzony.

Paż. Otóż i sir Dżon.

Wchodzą sir Dżon Falstaf, Bardolf, Nym i Pistol.

Falstaf. Cóż to, mości Szallow, chcesz mię podobno zaskarżyć przed królem?

Szallow. Rycerzu, pobiteś moich ludzi, wybiteś mi zwierzyne i znieważyłeś dom mojego leśniczego.

Falstaf. Alem córki waszego leśniczego nie pocałował.

Szallow. Co? Jeszcze drwinki? Odpowiesz mi za to, mości panie.

Falstaf. I to natychmiast. Wszystko to od *a* do *zet* zrobiłem. Otóż i odpowiedziałem.

Szallow. Będzie o tem Izba wiedziała.

Falstaf. Lepiej byłoby dla waćpana, żeby izba o tem nie wiedziała: wymianoby cię tylko.

Ewans. *Pauca verba*, sir Dżon; to nietobrze fchodrzyz f cuce pory.

Falstaf. Pory i selery! — Rozbiłem ci głowę, Slenderze, jakąż możesz mieć do mnie urazę?

Slender. Mamci, panie, w głowie nie mało uraz z waszej łaski i tych waszych złodziejskich zauszników, Bardolfa, Nyma i Pistola. Zawlekli mnie do szynkowni, upoiłi, a potem spłodrowali mi kieszenie.

Bardolf. Ty chudy owczy serze!

Slender. No, no; dajmy temu pokój.

Pistol. Jak to było, Mefistofilu?

Slender. No, no, dajmy temu pokój.

Nym. Cicho, mówię! »Pałka welba!« To sens moralny mojego humoru.

Slender. Gdzie to Sympel, mój pacholek? — nie wiesz, wujaszku?

Ewans. Skota! skota! płakam faz panó! My chszemy srobicz porosumienie. Tu jezd trzy sędzia f ta ma-terja; to jezd: imcz pan Parz, *fidelicet* imcz pan Parz; a tu jezd ja, *fidelicet* ja; a trzcza częszcz jest narz kospodarz s pot Potfiąska.

Paż. My we trzech wysłuchamy waćpanów i zago-dzimy rzecz całą.

Ewans. Tak jezd: my fe trzech zakocimy zetrz całą. Ja sobie f krutkoszczi zapisze to f mój pukilaresz, a potem fe trzech przystąpimy do interesz s tak fielką dysgreszją, jak pędziemy mokli.

Falstaf. Pistolu! —

Pistol. Słucham uszyna.

Ewans. Do djapła i jeko prapapki! Szo za frazez jezd to: słuha huszyna? Jaka przezada!

Falstaf. Pistolu, czy to prawda, żeś oskubał mieszek pana Slendera?

Slender. Tak to prawda, jak to, że te rękawiczki mam na rękę. Miałem w nim siedm grotów w samych sześciopensowych sztukach i dwa talary Edwarda, za które zapłaciłem Idowi Müller po półtrzecia szylinga. Wszystko to zabrał mi ten hołysz.

Falstaf. Czy rzetelnie tak było, Pistolu?

Ewans. Nie, to nie pyło rzetelnie meszek oprzynacz.

Pistol. Ty kutergębo! — Sir Dżon, za tę potwarz Krwią mi odpowie ten papier blaszany. — Wykrztuś mi zaraz odwołanie tego, Podły chuchraku, łzesz! Cofnij to zaraz.

Slender. Na te rękawiczki! Więc to tamten.

Nym. Radzę waćpanu trzymać swój dobry humor na wodzy. Ja dobrym humorem nie gardzę, ale go łatwo tracę, kiedy mi kto chce humorystyczną mierzwą nos obcierać. Oto moje zeznanie.

Slender. Na ten kapelusz! więc to tamten z czerwoną gębą; bo lubo nie mogę sobie teraz dobrze przypomnieć, com robił wtedy, kiedyście mnie spoiłi, to jednak nie jestem tak dalece osłem.

Falstaf. Cóż ty na to, Karolku?

Bardolf. Ja, panie, utrzymuję, że się ten panicz upił tak, że mu w głowie ani krzty senesu nie zostało.

Ewans. Zenuz nie zenezu; faj, szo za iknoransz!

Bardolf. Mając w palce zapomniał nieborak o bożym świecie i konfuze jego zmieszają się z parą, co mu się ze łba kurzyła.

Slender. Tak, tak, gadaliście wy i wtedy po łacinie; ale mniejsza o to. Póki życia, nie upiję się, chyba w dobrej, uczciwej, przyzwoitej kompanji. Jeżeli się upiję, to z takimi, co mają w sercu bojaźń bożą, a nie z pijacką hałastrą.

Ewans. Tak niech mnie Pan Puk sądzi! to jezd pogopojny przetsięwzięcz.

Falstaf. Styszeliście panowie, jak te wszystkie zarzuty odparto? Wszakżeście styszeli?

Anna Paź przynosi wino; wkrótce potem wchodzi Miss Paź
i Miss Wud.

Paź. Odnieś to wino napowrót, moje dziecko; będziemy je pili w domu.

Wychodzi Anna Paź.

Slender. O nieba, to panna Anna!

Paź. Jak się mamy, mościa Wud?

Falstaf. Luba Miss Wud; na mą duszę, rad jestem, że cię spotykam. Za pozwoleniem.

Całuje ją w rękę.

Paź. Zono, bądź rada tym panom. Pójdźcie, panowie: mam na obiad gorący pasztet ze zwierzyny; zapijemy wszelkie niechęci.

Wszyscy wychodzą, prócz Szallowa, Slendera i Ewansa.

Slender. Dałbym za to czterdzieści szylingów, żebym tu mógł mieć moją książkę z pieśniami i sonetami. —

Wchodzi Sympel.

Gdzieś się to podziewał, Sympelu? Mamże sam chodzić koło siebie? he? Nie masz czasem przy sobie Zbioru madrygałów?

Sympel. Zbioru pańskich madrygałów? Nie pożyczyleś ich pan tej małej Dorotce na kilka dni przed Świętym Michałem?

Szallow. Słówko, siostrzeńcze: posłuchajno; mam ci

coś do powiedzenia, mój siostrzeńcze. Szanowny Hugo rzucił tu przed chwilą z daleka pewien projekt, pewien, że tak powiem rodzaj projektu — rozumiesz mnie?

Slender. Bądź spokojny, wujaszku; znajdziesz mnie roztroptym: jeżeli o to idzie, uczynię, co roztropność każe.

Szallow. Ależ chciej mnie zrozumieć.

Slender. Tak też czynię.

Ewans. Daj hucho temu projekt, moczy Slender; ja szy opis dam ta materja fetłuk tfoi inteligesi.

Slender. Nie, ja tak zrobię, jak mówi wujaszek Szallow. Wybacz mi, sir Hugonie; on jest sędzią pokoju w powiecie, chociaż ja jestem niczem.

Ewans. Ale to jezd nie kwesztja, kwesztja jezd wskłętem waspanskie orznenienie.

Slender. Jaktó, o to rzecz idzie?

Ewans. Ma się rozumieć, o to zetrz idże; o zetrz ją panny Hanna Parż.

Slender. Kiedy tak, to się z nią ożenie, pod rozumni warunkami.

Ewans. Ale trzy morżesz wazpan affektowacz ta żefczyna? Fyznaj to z fłasnych hust lup s fłasnych fark; bo niektórzy filozofery udrymują, rze farki jezd częszcz hust. Dlatego pofidz oftarcze, trzy marsz dla tej żefczyny topra woła?

Szallow. Siostrzeńcze Abraamie Slender, możesli ty ją kochać?

Slender. Spodziewam się, wujaszku, postąpię sobie w tej mierze tak, jak przystoi rozsądnemu człowiekowi.

Ewans. Na Poka i jego szwiątą rodzinę! trzepa wazpan muficz possytyfniej; trzy morze wazpan sumiennie sfrucisz rządze ku niej?

Szallow. Tak, tak; trzeba ci się stanowczo decydować; chcesli ją z dobrym posagiem wziąć za żonę?

Slender. Gotów jestem jeszcze więcej zrobić niż twoje żądanie, wujaszku, wedle rozsądnej możliwości.

Szallow. Ależ chciej mnie zrozumieć, luby siostrzanie; chciej mnie zrozumieć. To, co czynię, czynię z miłości ku tobie. Mozeszli kochać tę dziewczynę?

Slender. Ożenię się z nią, wujaszku, skoro tego żądasz; a choćby w początkach nie było wielkiej miłości, niebo wzmoże nasze deklinacje przy dłuższem pożyciu, skoro będziemy jak mąż z żoną i znajdziemy sposobność poznania się wszechstronnie nawzajem. Przy większej poufałości powiększą się nasze resentymenty. — Powiedziałeś, wujaszku, żeń się z nią; otóż żenię się z nią: w tym punkcie czuję w sobie najdyssolutniejszą dyssolucję.

Ewans. To jezdź czale rozsądny odpofidz: s fjątkiem pędu f f yraz dyssoluszja; f yraz ten jezd fette jego myszli rozoluszja; — myszl jego jezd topry.

Szallow. Tak, tak, nie wątpię, że mój siostrzan jest dobrej myśli.

Slender. Głową ręczę za to.

Wchodzi znowu Anna Paż.

Szallow. Otóż piękna panna Anna. — Patrząc na waćpannę, panno Anno, żałuję, że nie młody.

Anna. Obiad już na stole: ojciec prosi panów.

Szallow. Idę mu służyć, piękna panno Anno.

Ewans. Swięcz się fola Porża; nie karczę nikty za proшения.

Szallow i Ewans odchodzą.

Anna. A pan dobrodziej nie raczy pójść także?

Slender. Serdecznie pannie dziękuję i tak mi dobrze.

Anna. Obiad czeka na pana.

Slender. Nie jestem zgłodniały. Dziękuję pannie, doprawdy. — Do Sympla. Idź, przyjacielu; lubo właściwie jesteś tylko moim człowiekiem; idź tam usłużyć wujaszkwowi Szallow. Odkąd mi matka umarła, trzymam trzech ludzi i jednego chłopca; ale dlatego żyję jak ubogi urodzony szlachcic.

Anna. Nie mogę powrócić bez pana: tamci panowie nie chcą bez pana siąść do stołu.

Slender. Dalibóg nie chce mi się jeść. Dziękuję pannie za obiad, tak jak gdybym go miał — w żołądku.

Anna. Niech pan pójdzie, bardzo proszę.

Slender. Wolę tu sobie chodzić: dziękuję pannie. Zostałem niedawno naszpikowany w udo walcząc z jednym fechtmistrem na szpady i sztylety o porcję duszonych śliwek i na honor, nie mogę otąd znieść zapachu gorących potraw. Czego to wasze psy tak wyją? czy w mieście są niedźwiedzie?

Anna. Zdaje mi się, że są: dopieroco jednego słyzałam.

Slender. Ja strasznie lubię polowanie; ale nikomu pewnie w Anglii łatwiej przy nich nie przychodzi do kłótni. Panna się pewnie stracha na widok niedźwiedzia, nieprawda?

Anna. W rzeczy samej.

Slender. Otóż to dla mnie jadło i napój! Ja misia widziałem mało dwadzieścia razy w ostępie, miałem go nawet na kaganiec; ale kobiety, to prawda, aż gwałtu krzyczały, jak przechodził. Jużto kobiety nie mogą znieść tych stworzeń i w rzeczy samej, są to okropne, szkaradne bestje.

Wchodzi Paż.

Paż. Pójdźże, kochany panie Slender, czekamy na ciebie.

Slender. Bardzo dziękuję panu; nic jeść nie będę.

Paż. Do wszystkich butelek: nie będziemy się pana pytali; musisz iść.

Slender. Nie, nie, doprawdy — idź pan przynajmniej przodem.

Paż. Dalej, dalej.

Slender. Panno Anno, niech panna idzie przodem.

Anna. Idź pan, bardzo proszę.

Slender. Dalipan, nie pójde pierwszy; dalipan, nie zrobię pannie tej krzywdy.

Anna. Ależ proszę.

Slender. No, to wolę już być niegrzecznym jak narzykronym. Sama sobie panna krzywdę wyrządzasz; dalipan, sama.

Wychodzą.

SCENA DRUGA.

Tamże.

Wchodzi Sir Hugo, Ewans i Sympel.

Ewans. Idź swoją drogą i pytaj do doktor Kajus o droga. Tam mieszka jetna pani Kwikli, który jezd rodzaj jego mamka, albo kucharka, albo pratrka, albo klutrznica.

Sympel. Dobrze, panie.

Ewans. Ottaj jej ten list, bo to jezd kopita topra znajoma panny Hanna Parz: a ten list jezd dla oprosienia i oplakania jej, rzepy popierała affektaszje ttego pana u panny Hanna Parz. Proszę czę, icz; muszę srobicz koniec opiadu; pędą jeszcze japka i kumutki.

Wychodzą.

SCENA TRZECIA.

Izba w gospodzie pod Podwiązką.

Falstaf, Oberzysta, Bardolf, Nym, Pistol i Robin.

Falstaf. Mości gospodarzu pod Podwiązką.

Oberzysta. Co każesz, lordzie birbancie? Mów mądrze i uczenie.

Falstaf. Dowiedz się, mój Filemonie, że się muszę pozbyć części mego orszaku.

Oberzysta. Daj im krzyżyk, mój Herkulesie; niech idą na cztery wiatry.

Falstaf. Pozostaje mi tylko dziesięć funtów na tydzień.

Oberzysta. Jesteś prawdziwy imperator, Cezar, Król, Dżon Bulb! Ja Bardolfa wezmę do siebie; bądź mi butelkował piwo. Dobrze tak, mój Hektorze?

Falstaf. Dobrze, mój dobry gospodarzu.

Oberzysta. Słowo się rzekło; każ mu pójść za mną, bobym go rad czempredzej widzieć z czopem w rękę. Pójdź wasze. *Wychodzi.*

Falstaf. Idź za nim, Bardolfie. Zawód sączypiwosza jest użytecznym zawodem. Ze starego płaszcza może być nowy kaftan; z kiepskiego sługi dobry kielner. Idź zdrów.

Bardolf. Do takiej posady dawno wzdychałem; godnie jej odpowiem. *Odcchodzi.*

Pistol. Nikczemny moczymordo, lej wolisz niż szpadę?

Nym. Po pijanemu był płodzony, niema w nim krzty heroicznego humoru.

Falstaf. Rad jestem, że się pozbył tego dziurawego puzdra. Złodziejstwa jego były za jawne, oszustwa podobne do rzepolenia bez taktu; nie umiał nigdy właściwego tempa zachować.

Nym. Właściwy humor leży w tem, żeby kraść w jak najkrótszej pauzie.

Pistol. Przyswajac sobie, mówi się;

Kraść? O sromoto! co za styl!

Falstaf. Mości panowie, wkrótce będę chodził bez butów.

Pistol. To i przyjdzie nogi odmrozić.

Falstaf. Niema sposobu; muszę sobie radzić, muszę spekulować.

Pistol. Młode kruki muszą mieć źer.

Falstaf. Który z was zna człowieka, co go Wudem zowią?

Pistol. Znam tę figurę; to ptak w dobrych pierzach.

Falstaf. Moje poczciwe chłopcy, dowiedźcie się, jak ważne jest moje przedsięwzięcie.

Pistol. Na paręset funtów i więcej.

Falstaf. Bez dwuznaczników, Pistolu; w rzeczy samej, to co mam przed sobą, może trzymać paręset funtów wagi, ale moja powaga nie może się daleko utrzymać. Krótko mówiąc, zamierzam do żony Wuda skierować zaloty. Spodziewam się u niej sukcesu. Chętnie ze mną rozmawia, uśmiecha się do mnie, rzuca na mnie zachęcające wejrzenia; mogę sobie śmiało z jej poufalego stylu czyn urobić i najtwardszy dźwięk jej obchodzenia się ze mną, dobrze po angielsku wyrażony, wychodzi na to: »Twoja jestem, Falstafie!«

Pistol. Dobrze ją wystudjował i wytłumaczył z całą czystością angielską.

Nym. Kotwica głęboko zarzucona: humor ma rozległe pole.

Falstaf. Słychać, że ona rządzi workiem męzowskim; ma na zawołanie legjony aniołów.

Pistol. Weźże do pomocy legjony djabłów i obces do niej!

Nym. Humor się ożywia. Wartoby zhumoryzować tych aniołów.

Falstaf. Mam tu przygotowany list do niej; ten zaś drugi jest do żony Paziu, która mi także nieraz pełne miłości spojrzenia zasyła i budowę moją badawczym przegłądała okiem: promienie jej wzroku złożyły czasem nogi moje, czasami mój pulchny brzuch.

Pistol. Takim sposobem słońce oświecało kupę gnoju.

Nym. Niechże cię uściskam za ten humor!

Falstaf. Ach, ona obiegała moją zewnętrzność z tak namiętnym zapałem, że pragnienie jej wzroku zdawało się chcieć mnie zżedz nakształt szkła palącego. Ten drugi list jest do niej; ona także ma w zachowaniu klucz do szkatuły męża; istną jest kopalnią Gujany, napelnioną złotem. Te dwie kobiety staną się dla mnie skarbnicami, które po kolei otwierać będą; staną się dla mnie Wschodniemi i Zachodniemi

Indjami, które po kolei będą eksploatował. Idź, zanieś ten list do Miss Paź, a ty ten drugi do Miss Wud. Nasze papiery idą w górę, chłopcy, nasze papiery idą w górę.

Pistol. Mamże Trojańskim sir Pandarem zostać, nosząc przy boku szpadę? Bierz go djabli? *Rzuca list.*

Nym. Nie praktykuje nikczemnego humoru: precz z tym humorystycznym listem! nie chcę stracić uczciwej reputacji. *Rzuca list.*

Falstaf do Robina. To więc ty zanieś te listy, gdzieś wskazał:

Żegluj jak okręt mój do złotych brzegów,
A wy niecnoty, stopcie się jak sople!
Idźcie się tulać, zdzierać nogi goniąc
Za kęsem strawy. Precz, won z moich oczu!
Falstaf oszczędnie odtąd żyć zaczyna,
Wedle francuskiej mody. — Pójdź, mój paziu.

Odechodzi z Robinem.

Pistol. Niechaj ci sępy w kiszkach kolki sprawią!

Fałszywe kości zwracają się czasem
Na szkodę gracza. Ja tyńfy mieć będę,
Kiedy ty w biedę zagrzęźniesz, przemierzły
Frygijski Turku!

Nym. W mojej głowie odbywają się operacje, będące humorami zemsty.

Pistol. Chceszli się zemścić?

Nym. O, tak, na firmament

I jego gwiazdy!

Pistol. Dowcipem czy szpadą?

Nym. I tym i owym humorem. Paziowi
Odkryję cały humor tej miłości.

Pistol. A ja Wudowi w ucho wścibię
Falstafa zamierzoną sprawkę,
Jak on na jego mieszek dybie
I jego cną turkawkę.

Nym. Mój humor nie zaśpi sprawy: podżegnę w Paziu jadowite myśli: wzbudzę w nim tak wielką dozę zadróci i skąpstwa, jakiej potrzeba do gwałtownego wybuchu miny. Oto treść mego humoru.

Pistol. Jesteś prawdziwym Marsem małkontentów. Działaj, a ja cię wspierać będę.

Obadwaj wychodzą.

SCENA CZWARTA.

W domu doktora Kajusa.

Pani Kwikli, Sympel i Rugby.

Pani Kwikli. Dżonie Rugby! Proszę cię, stań przy oknie i uważaj, czy nasz pan, doktor Kajus, nie idzie: bo gdyby nadszedł i zastał kogo obcego w domu, nadużyłby znowu po swojemu cierpliwości Bożej i angielskiego króla.

Rugby. Będę pilnie uważał. Odechodzi.

Pani Kwikli. Idź; będziemy za to pić warzone piwo tej nocy przy zarzewiu węgla kamiennych. — Poczciwy to, ochoczy, usłużny chłopiec, o ile tego można żądać od sługi; a do tego nie ma długiego języka ani długich uszu. Jedyłą jego wadą jest zbytńia skłonność do pokładania się; stąd czasem się wydaje głupowatym: ale niema człeka bez wady — zresztą mniejsza o to. Mówisz więc, mój przyjacielu, że miano twoje jest Piotr Sympel?

Sympel. Tak jest, w braku lepszego.

Pani Kwikli. I pan Slender jest twoim panem.

Sympel. Jest nim w istocie.

Pani Kwikli. Czy on nie nosi czasem wielkiej, okrągłej brody jak raszpla rękawicznicza?

Sympel. Nie, pani, ma tylko małą, szczupłą twarzyczkę z małą żółtą bródką, troszkę rudawą.

Pani Kwikli. Chuderlawy człowieczek, nieprawdaż?

Sympel. Tak jest, w istocie; chuderlawy aie żwawy; a przytem tak wielkiej siły w kulaku, jak wielki jest przedział między moją głową a jego. Potykał się raz z jednym owczarkiem.

Pani Kwikli. Czy tak? A, a, poczekajże. Nie jesteżte to ten, co! tak głowy zadziera i w kroku podobny jest do pawia?

Sympel. W istocie, podobno jest podobny.

Pani Kwikli. Kiedy tak, to niechże nieba nie dają Anusi gorszego niż ten losu! Powiedz ojcu Ewansowi, że zrobię dla twojego pana, co tylko będę mogła. Anka jest dobrą dziewczyną i spodziewam się —

Rugby powraca.

Rugby. Dla Boga! pan nadchodzi!

Pani Kwikli. Będziemyż się mieli z pyszna! Dalej, kochany chłopcze, do tego gabinetu!

Wpycha Sympla do gabinetu.

Nie będzie długo bawił. — Hej Dżonie! Rugby! Dżonie, czy słyszysz? Biegnij się dowiedzieć, co się dzieje z panem; boję się czy nie zasłał, że go nie widać. Nuel. La, la, la, la.

Wchodził doktor Kajus.

Kajus. So szpiała? Ża nie lubi taki hałas. Proszę, niech mi poszuka w mój kabinet *un boitier vert*, *un pudelek*. Szi rozumiała, so ża muwi? *un zieloni pudelek*.

Pani Kwikli. Natychmiast poszukam i przyniosę. Do siebie. Chwała Bogu, że mu się nie zachciało pójść samemu; gdyby był tam znalazł tego chłopca, byłby był oszalał z zazdrości. Idzie do gabinetu.

Kajus. Ui! uf! uf! *Ma foi, il fait fort chaud — Je m'en vais a la cour — La grande affaire —*

Pani Kwikli powraca.

Pani Kwikli. Czy pan tego żadał?

Kajus. *Oui, mettez le dans ma kieszeń; dépeche* prętko. Ksie siesi ten lotr Rugby?



Pani Kwikli. Hej! Rugby! Dżonie Rugby!

Rugby. Jestem, panie.

Kajus. Wiesz swój rapier, poidziesz ze mną na dwór.

Rugby. Wezmę go, panie, idąc; mam go w przedpokoju.

Kajus. Na mój *honneur*, upuśnięm szę-za długo. Do lika! *qu'ai-je oublié?* Są tam pewne simple w moi kabinet, którők za nis w swiesie zostawiś tam nie mogę.

Pani Kwikli. Biada mi! zobaczy go i w wściekłość wpadnie.

Kajus. O, *diable, diable!* Sosz to tu zest w moi kabinet! A hultai! *larron!* Wyrzuca Sympła. Rugby, moi rapier.

Pani Kwikli. Uspokój się, kochany panie.

Kajus. Za się mam uspokoiś, ża?

Pani Kwikli. To uczciwy chłopiec.

Kajus. So ma robiś uszsiwi klopes, w moi kabinet? To nie uszsiwi klopes, so wkosi w moi kabinet.

Pani Kwikli. Błagam cię, panie, nie bądź tak flegmatycznym; posłuchaj, jak się ma rzecz cała. Ten chłopiec przyszedł do mnie z pewnem złeceniem od parsona Ewansa.

Kajus. Dopsze.

Sympel. W rzeczy samej, przyszedłem prosić tę panię...

Pani Kwikli. Cicho, cicho.

Kajus. Siko z jesikiem. Mów dali Wazan.

Sympel. Przyszedłem prosić tę panię, tę waszę pannę, panie, żeby powiedziała dobre słowo pannie Annie Paż za moim panem według interesu małżeństwa.

Pani Kwikli. Oto rzecz cała, rzeczywwiście; ale ja palców nie lubię wtykać w ogień, nie potrzebuje.

Kajus. Książs Ugo psziszal cię tu? Rugby, *bailliez* mi troka papierą; niek tu poszeka momensik. Pisze,

Pani Kwikli. Bogu dzięki, że taki dziś powolny, bo gdyby był tę rzecz po swojemu wziął do serca, byłibyśmy usłyszeli i uczuli całą moc melancholji. Pomimo tego jednak uczynię dla twojego pana, co tylko będę mogła, mój chłopcze. Całą przeskodą jest to, że nasz francuski doktor, mój pan, nazywam go moim panem, bo jestem gospodynią w jego domu; piore mu, magluję, prasuję, piekę, smażę, gotuję, przyrządzam jadło i napój, ogrzewam łóżko i sama służę do wszystkiego.

Sympel. Wielki to ciężar, być pod kimś. —

Pani Kwikli. Ty to pojmujesz? O tak, straszny to ciężar; a przytem wstawać wczesnie i kłaść się późno; ale mimo tego (między nami mówiąc, bo to powinno zostać między nami) mój pan jest sam w Annie Paż zakochany, ale mimo tego ja znam Anusi sposób miślenia, niema rzeczy w tych afekcjach.

Kajus. Ti *sacré* — oszel, zaniesz ten list do sir Ugo; *morbleu*, to zest wizwanie: ża mu ksz usznaś garsiel w parku; ża ksz nauszis ten *sacré* ultai książs melmieszas szę w taki szeszi. Mosze jusz pójś presz; to niedopsze od niego sze tu wabi. — *Morbleu!* ża mu ksz obsiąś oba uka; — *morbleu!* nie bęsie miał ani jedno uko, żebi go szusis na swoi pies.

Sympel odchodzi.

Pani Kwikli. Ależ, panie, on się tylko wstawia za przyjacielem.

Kajus. Nis nie znasz. Szż ża nie powieszal Wazani, sze ża ksz miś Anna Paż dla mnie? *Morbleu!* ża polosze na śmierś ten *sacré* ultaj person; ża napisal już do moi gospodarz *de la jarretiere*, żebi mi służil za sekondant. *Morbleu!* ża ksz sam miś Anna Paż.

Pani Kwikli. Ta dziewczyna kocha cię, panie, i wszystko pójdzie dobrze. Pozwólmy ludziom zęby ostrzyć; tyle ich, co oskomy.

Kajus. Rugbi, pójsz za mną na dwór. — *Morbleu*, jeżeli za nie będę miał Anna Paż, wypiknę si głowa za moje szwi Za mną, Rugbi. Wychodzą Kajus i Rugby.

Pani Kwikli. *Anessę* chyba jaką mieć będziesz a nie Anusię: wiem ja co się dzieje w jej sercu. Niema w Windsorze kobiety, któraby lepiej niż ja znała jej serce i lepiej niż ja mogła na nie wpłynąć, Bogu dzięki!

Fenton za drzwiami. Czy niema tam kogo?

Pani Kwikli. Któżby to był? Proszę wejść.

Wchodzi Fenton.

Fenton. Jak się masz, kochana pani Kwikli? Jak się masz?

Pani Kwikli. Tem lepiej, kiedy Wasza Cześć o to pyta.

Fenton. Cóż tam słyhać nowego? Jak się ma śliczna panna Anna?

Pani Kwikli. W rzeczy samej, śliczna to jest i dobra i luba dziewczyna, a przytem życzliwa waszej miłości, mogę za to ręczyć.

Fenton. Jak myślicie? Czy mi się powiedzie? Czy zabiegi moje będą skuteczne?

Pani Kwikli. Wszystkoć to jest w ręku Tego tam na wysokości; ale mimo tego mogę waszej Wielmożności przysiądż na ewangelję, że posiadasz jej serce. Czy wasza Wielmożność nie ma czasem brodawki wyżej oczu?

Fenton. Mam ją w istocie, i cóż stąd?

Pani Kwikli. Do tej brodawki przywiązana jest pewna historja. Na mą duszę! ta Anka to urwis dziewczyna, ale przytem sama poczcliwość, gamratuję za to. Otóż blisko godzinę rozmawiałyśmy z sobą o tej brodawce. Nie jestem tak łatwa do śmiechu, ale przy tej dziewczynie niepodobna się nie śmiać. Muszę jednak przyznać, że jest trochę za melancholiczna i matjaśna; ale to wszystko z waszej, panie, przyczyny. No, no, pójdzie to, pójdzie; niech jeno wasza Wielmożność sprawy nie zasypia.

Fenton. Dziś jeszcze będę się z nią widział. — Przyjmij to odemnie waćpani na zadatek, a jeżeli się z nią pierwej niż ja zobaczysz, pomów z nią o mnie.

Pani Kwikli. Uczynię to, na poczcliwość, uczynię. Opo-wiem waszej Wielmożności coś więcej jeszcze o tej brodawce, jak będziemy mieli z sobą konfidencję, i o innych jeszcze rzeczach.

Fenton. Bądź waćpani zdrowa; pilny mam interes na mieście. Wychodzi.

Pani Kwikli. Zdrowia życzę waszej Wielmożności. Zaczny to pan, ani słowa: ale Anusia go nie kocha; ja znam serce Anusi, o ile tylko znać można. A, do licha! byłabym zapomniała. Wychodzi.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

Przed pałacem Pazia.

Pani Paż wchodzi z listem w ręku.

Pani Paż. Cóż to jest? Uchroniłam się od listów miłosnych za różanych dni moich wdzięków, a teraz mam być ich przedmiotem? Zobaczmy. Czyta. »Nie pytaj mnie o rozsądny powód mojej ku tobie miłości, bo jakkolwiek miłość używa rozumu za tłumacza, nie bierze go nigdy za doradcę. Nie jesteś już młodą, ja podobnie; w tem jest rękojmia sympatji; wesolą jesteś, ja także! ha! ha! o tyle większa rękojmia sympatji: lubisz winko, ja niemniej; mo-żeszże większej chcieć sympatji? Jeżeli miłość żołnierza może być wystarczającą dla ciebie, o Miss Paż, niech ci to wystarczy, że cię kocham. Nie powiem,

zlituj się nademną; taki frazes nie godzien żołnierza; ale powiem: kochaj mnie.

Czy dzień na niebie,
Czy noc pogrzebie,
Niepomny siebie,
Gotów w potrzebie
Umrzec dla ciebie.

Dżon Falstaff.

Cóż to za Herod żydowski! — O, bezbożny świecie! Żeby też taki łach zszarżany wiekiem mógł się jeszcze jak młody stuperczyć! Jakąż nierozważną zachętę mógł sobie ten flamandzki opór z mojej rozmowy wyciągnąć, że mnie w taki sposób nachodzi? Zaledwie go trzy razy widziałam! — Cóżem ja mogła takiego mu powiedzieć? Byłam wtedy skąpą w wesołości. Bóg widzi! Na honor, muszę wnieść bil do parlamentu o skasowanie całej rasy mężczyzn. Jakże się na nim zemścić? bo że muszę być pomszczoną, to jest tak pewna, jak to, że jego serce jest z pudyngu.

Wchodzi pani Wud.

Pani Wud. Miss Paź, właśnie szłam do ciebie.

Pani Paź. A ja do ciebie. Żle mi coś wyglądasz.

Pani Wud. Nie sądzę; mogłabym ci dowieść, że się mylisz.

Pani Paź. To może mi się tylko tak zdaje.

Pani Wud. Może i nie zdaje, lubo, jak powiadam, mogłabym ci dowieść, że się mylisz. O, Miss Paź, daj mi przyjacielską radę.

Pani Paź. O cóż to idzie, kochanko?

Pani Wud. Dowiedz się, że gdyby nie jedna fraszka, mógłby mnie spotkać wielki honor.

Pani Paź. Gardź fraszkami, gdzie idzie o honor. Cóż to takiego, moje serce, cóż to takiego?

Pani Wud. Gdybym chciała na krótki moment, to jest na wieki pójść do piekła, mogłabym być pasowaną rycerzem.

Pani Paź. Alicja Wud rycerzem? Dajże pokój! Rycerze godzą na ostrze; nie zmieściał lepiej stanu.

Pani Wud. Przestańmy palić w dzień świece. Na, masz, czytaj, zobaczno, jakim to sposobem mogłabym być pasowaną rycerzem? Każdy tłuszcioch wydawać mi się teraz będzie potworem, dopóki tylko oczy moje zdolne będą rozpoznać postać mężczyzny. Jak się to on umiał ułożyć! Wychwalał skromność niewieścian i powstawał z taką godnością i powagą przeciw wszelkiej nieprzyzwoitości, że byłabym przysięgła, iż słowa jego ze skłonnościami idą w parze; ale one tak z sobą kwadrują, jak setny psalm z melodją pieśni karczemnej. Jakaż burza wyrzuciła na brzeg Windsoru tego wieloryba, napełnionego tyłu bezkami tranu? Jakże się na nim zemścić? Najlepiej podobno będzie utrzymywać go w nadziei tak długo, aż obmierzły ogień żądzy uszkarzy go w własnym sadle. Słyszałaś co podobnego?

Pani Paź. Słowo w słowo, z odmianą tylko co do nazwisk. Na wielką twoją pociechę w tej mistyfikacji mam tu rodzzonego brata twego listu; ale zostawiam twemu prawo starszeństwa, bo co mój, to nigdy nie zostanie dziedzicem. Ręczę, że on ma z tysiąc takich listów z pozostawionemi okienkami na nazwiska; może i więcej, a te są już drugiej edycji. Pewnie je każe drukować, bo on nie pyta, co kłaść pod prasę, kiedy nas obie chciał pod nią wsadzić. Wolalabym być olbrzymką i runąć pod Peljonem. Łatwiej zaprawdę znaleźć dwadzieścia bezwstydných synogarlic, niż jednego skromnego mężczyznę.

Pani Wud. Kubek w kubek taki sam; ta sama ręka, te same wyrazy. Cóż no sobie o nas myśli?

Pani Paź. Nie wiem doprawdy. Gotowabym nieledwie zwątpić o własnej uczciwości. Muszę się uważać za jakąś obcą mi osobę; bo w istocie, gdyby był w mnie nie odkrył czegoś, czego sama nie znam, nie śmiałyby tak zapamiętałe zahaczać mego okrętu.

Pani Wud. Nazywasz to zahaczeniem okrętu? Ha, ha, ha! Nie wejdzie on na pokład mojego, za to ręczę.

Pani Paź. Ani mojego, mogę przysiąc. Gdyby się to stało, pewniebym już nigdy nie wypłynęła na morze. Musimy się nad nim zemścić: dajmy mu *rendez-vous*; okażmy mu możliwość uwięczenia jego zabiegów; posuwajmy go drażniącą odwołką coraz dalej, tak długo, aż zostawi konie u oberżysty pod Podwiązką.

Pani Wud. Gotowam się dopuścić czegoś najbezpieczniejszego względem niego, byleby tylko bez uszczerbku dobrej sławy. O, gdyby mój mąż wiedział o tym liście, dopierożby się rozszarżał.

Pani Paź. Patrz i on nadchodzi, a z nim i mój poczciwiec. Zazdrość tak jest od niego daleką, jak ja od dania mu do niej przyczyny, a od tego, na honor, dzieli mię przestrzeń niezmierną.

Pani Wud. Tem szczęśliwsiymi jesteście.

Pani Paź. Idźmy złożyć radę wojenną na tego karmnego rycerza. Oddalają się.

Wchodzi Wud z Pistolem, a Paź z Nymem.

Wud. Mam nadzieję, że to bajka.

Pistol. Nadzieja często jest wyżłem bez wężu.

Sir Dżon odmawia ci żonę.

Wud. Ależ, mój panie, moja żona już nie młoda.

Pistol. On stare, młode, małe i wysokie,

Chude i tłuste ryczałtem uwodzi,

Lubi miłosny bigos. Zważ to, Wudzie.

Wud. Kocha więc moją żonę —

Pistol. Rogi, mospanie. Bywaj zdrów.

Pilnuj się, bo złodzieje chodzą kołowato;

Pilnuj się, nim kukułka oznajmi ci lato.

Teraz, kapralu Nymie, marsz!

Zawierz mu, Paziu, to uczciwy człowiek.

Pistol wychodzi.

Wud. Pomyślę nad tem, dojdę tego.

Nym do Paziu. Powiadam waści szczerą prawdę: nie cierpię humoru kłamstwa. Poruszył on we mnie pewne humory, kazał mi zanieść list waścinej żony, ale mam miecz przy boku: potrafi on ukąsić, jak mi kęsa zabraknie. Krótko węzłowato mówiąc, Falstaf kocha waścina żonę. Co do mnie, nazywam się kapral Nym; twierdzę to i zaprzysięgam. Tak jest; ja się nazywam kapral Nym, a Falstaf kocha waści żonę. Nie kupi mię nikt humorem chleba i sera: oto cały humor tego raportu. Adieu. Wychodzi.

Paź. Humor tego raportu! Do kroćset butelek! Ten człowiek humorem swoim djabelnie działa na humor.

Wud. Idę do Falstafa.

Paź. Jak żyję, nie słyszałem tak przekonywająco efronckiego oszusta.

Wud. Niechno się tylko to pokaże prawdą!

Paź. Nie uwierzę takiemu chińczykowi, choćby go ksiądz z kazalnicy nazwał rzetelnym.

Wud. Mówią jednak, że to był dobry, rozsądny chłopak. Hm! hm!

Pani Wud i pani Paź zbliżają się.

Paź. Ah, Małgosia!

Pani Paź. Gdzie idziesz, Grzesiu? Słuchajno.

Pani Wud. Cóż ci to, kochany Franusiu? Czegożes tak melancholiczny?

Wud. Ja melancholiczny? Wcale nie jestem melancholiczny. — Idź do domu, idź.

Pani Wud. Znowu ci przychodzą jakieś fanaberje do głowy. Czy idziesz ze mną, miss Paź?

Pani Paź. Idę, idę. Pamiętaj Grzesiu, nie spóźnić na obiad. Na stronie do pani Wud. Patrzo, kto tu idzie; to będzie nasz poseł do tego rycerza.

Wchodzi pani Kwikli.

Pani Wud. Właśnie o niej myślałam; ona jedyna do tego.

Pani Paź. Przychodzisz pewnie waćpani odwiedzić moją Anusię?

Pani Kwikli. Nie inaczej, jakże się ona miewa?

Pani Paź. Pójdź z nami, to się dowiesz. Mamy z waćpanią dużo do mówienia.

Wychodzą z Panią Kwikli.

Paź. No i cóż, mości sąsiedzie?

Wud. Słyszałeś, co mi ten drab powiedział?

Paź. Słyszałem. A ty nie słyszałeś, co mi powiedział tamten?

Wud. Cóż ty na to? Sądziszli, że jest w tem cokolwiek prawdy?

Paź. Niech kat porwie tych obwiesiów! Nie sądzę, aby sir Dżon był zdolny do czegoś podobnego; a ci co go oskarżają o zamiary względem naszych żon, są ranżerowaną dwójką jego usług, istną kwintesencją łotrów, zwłaszcza teraz kiedy są bez służby.

Wud. To więc oni byli w służbie u niego?

Paź. Ma się rozumieć; byli jego fagasami.

Wud. Nie lepiej mi się dla tego podoba ta historia. Wszakże on mieszka pod Podwiązką?

Paź. Nie inaczej. Jeżeli on istotnie przedsięwzię wyprawę na moją żonę, zostawię mu wolny przystęp, a co więcej od niej otrzyma nad ostre słowa, to niech na moją głowę spadnie.

Wud. Nie wątpię i ja o cnocie mojej żony, wolę jednak być wolnym od pozostawiania mu wolnego przystępu. Zbyteczne dowierzanie bywa czasem zbytecznym. Nie chcę brać niczego na moją głowę; ten rodzaj ubezpieczenia nie dogadza mi bynajmniej.

Paź. Patrz, oto nadchodzi nasz rubaszny gospodarz z pod Podwiązki. Albo ma likwor w głowie albo pieniądze w kieszeni, że tak promieniejąco wygląda. Cóż tam słychać, kochany gospodarzu?

Wchodzi oberżysta z Szallowem.

Oberżysta. Jak się mamy, stary birbancie? Do Szallowa. Prawdziwy szlachcic z ciebie, prawdziwy kawaler sędzia. Pójdź, pójdź.

Szallow. Idę, idę, mój gospodarzu. Wieczór dobry, mości Paziu! Nie chciałbyś czasem pójść z nami? Idziemy zabawną rzeczą zobaczyć.

Oberżysta. Opowiedz mu to, kawalerze sędzio, opowiedz mu to, stary birbancie.

Szallow. Idziemy być świadkami walki mającej być stoczoną między walijskim księdzem, sir Hugonem, a francuskim doktorem Kajusem.

Wud. Słowo, kochany gospodarzu z pod Podwiązki.

Oberżysta. Slucham cię, stary birbancie.

Ochodzą na stronę.

Szallow. Pójdź waćpan z nami. Nasz jowjalny gospodarz ma im sekundować; ale zdaje mi się, że im zupełnie przeciwne miejsca do spotkania naznaczył; bo ksiądz, jak słyszałem, nie żartuje. Powiem zaraz waćpanu, do czego zmierza nasz figiel.

Oberżysta. Nie chcesz go przecie wyzwać? Daruj mu, to mój lokator, król moich gości.

Wud. Bynajmniej, asekuruję; ale zafunduję ci, mój gospodarzu, kwartę gorącego wina, jeżeli mi ułatwisz przystęp do niego i jeżeli mi powiesz, że się nazywam Strug, ot tak, dla żartu.

Oberżysta. Oto moja ręka, birbancie, będziesz miał wstęp i przystęp i nazywać się będziesz Strug; wszak tak? — Krotochwilny to rycerz. Idziecie, chłopcy?

Szallow. Nie odstąpię ciebie, mój gospodarzu.

Paź. Słyszałem, że ten Francuz nie źle włada rapierem.

Szallow. Kat mu po tem! Wyobraź sobie waćpan, naprzykład, że stoisz w miejscu umówionem, masz odliczone kroki, przygotowane dystanse, pchnięcia i tam dalej. Stoisz, stoisz i stoisz, a przeciwnika ani poświeć. To serce boli, mości Paziu. Ja to pojmuje,

bom kiedyś miał także do czynienia z szerpentynką; a była długa jak rozeń; mogłem nią czterech naj-
 tęższych chłopów rozruszać tak, że skakali jak szczyry.

Oberżysta. Dalej, dalej, chłopcy. Ruszmyż się z miejsca.

Paź. Idziemy, idziemy. — Wolałbym ich jednak
 słyszeć kłócących się niż widzieć walczących.

Wychodzą oberżysta, Szallow i Paź.

Wud. Niech sobie Paź będzie spokojnym głupcem
 i silnie ufa cnocie swojej żony; ja tak łatwo nie
 pozbędę się moich podejrzeń. Ona z nimi była parę
 razy u Paziów; co tam robili, nie wiem. Muszę to
 głębiej wysondować. Mam gotowe przebranie, pod
 którym wybadam Falstafa. Jeżeli ja znajdę niewinną,
 nie będę żałował zachodu; jeżeli przeciwnie, zachód
 ten będzie w porę podjęty. *Wychodzi.*

SCENA DRUGA.

Izba w gospodzie pod Podwiązką.

Wchodzi Falstaf i Pistol.

Falstaf. Nie pożyczę ci ani grosza.

Pistol. A więc świat jest ostrygą,

Którą ten miecz otworzy.

Potrącisz sobie tę sumę z mych zaśług.

Falstaf. Ani grosza, powiadam. Cierpliwy byłem,
 kiedyś moim kontenansem frymarczył. Kołatałem po
 trzykroć do przyjaciół o ulaskawienie dla ciebie i dla
 tego twojego współhultaja Nyma, inaczej bylibyście
 się obadwa kołatali za kratą jak para bliźniąt pa-
 wjanów. Z waszej przyczyny skazanym do piekła,
 bom przyjaciółom moim przysięgał, żeście dobrzy
 żołnierze i uczciwe chłopcy; a kiedy miss Brygida
 zgubiła trzonek od wachlarza, honor mój w zakład
 stawilem, żeś go nie miał.

Pistol. Nie korzystałeś z tego, nie wzięłeś piętna-
 ście pensów?

Falstaf. I słusznie, łotrze, i słusznie. Czy myślisz, że
 gratis duszę narażać będę? Krótko mówiąc, nie
 wieszaj się już przy mnie, bom ja nie szubienica
 dla ciebie — idź precz. — Z krótkim nożem marsz
 między ciżbę, a potem jedź osiąść w swojej baronji
 Hycelburgu. Nie chcesz moich listów doręczać, psi
 synu! zaślaniasz się honorem! o, ty najostatniejsza
 podłoto! ty chcesz mnie małpować w oglądaniu się
 na granice przyzwoitości? Ja, ja sam częstokroć sta-
 wiając bojaźń bożą po lewicy i osłaniając honor po-
 trzebą, zmuszony jestem kręcić, słańcąc się i podłazić;
 a ty nędzniku, chcesz swoje łachy, swój żbiczy wzrok,
 swoje karczemne koncepta i bluźniercze zakłęcia
 pokrywać płaszczem honoru? Ty? ty?

Pistol. Kruszę się, widzisz; można więcej żądać od
 człowieka? *Wchodzi Robin.*

Robin. Panie, jest tam jakaś kobieta, chce mówić
 z panem.

Falstaf. Niech się zbliży.

Wchodzi pani Kwikli.

Kwikli. Dzień dobry waszej wielmożności.

Falstaf. Dzień dobry, dobra kobieto.

Kwikli. Nie kobieto, za pozwoleniem waszej wiel-
 możności.

Falstaf. A więc panno, niech i tak będzie.

Kwikli. Ze tak jest, przysiędź mogę; zupełnie tak, jak
 moja matka w godzinę po mojem przyjsciu na świat.

Falstaf. Kto przysięga, temu wierzę. Czegóż żadasz,
 moja panno.

Kwikli. Mogęż raczyć powiedzieć waszej wielmoż-
 ności parę słów?

Falstaf. Parę tysięcy nawet, piękna dziewico, a ja
 raczę cię wysłuchać.

Kwikli. Jest w Windsorze nlejaka miss Wud — pro-
 szę waszej wielmożności przejść trochę na tę stronę —
 co do mnie, mieszkam u doktora Kajusa.

Falstaf. Dobrze; cóż dalej? Mowa jest więc o miss Wud?

Kwikli. O niej samej, do usług waszej wielmożności — niechże wasza wielmożność zechce przejść nieco na tę stronę.

Falstaf. Bądź spokojna, nikt nas nie słyszy, to własni moi ludzie, własni moi ludzie.

Kwikli. Doprawdy? Kiedy tak, niechże im nieba błogostawia i zrobią ich sługami swymi!

Falstaf. Amen! Ależ miss Wud — cóż mi o niej waćpani obwieścisz?

Kwikli. Ach, panie, to poczciwość stworzenie, a z waszej wielmożności wielki niecnota: niech ci, panie, nieba przebaczą i nam wszystkim!

Falstaf. Tak niech się stanie! ale przystąpmy do pani Wud.

Kwikli. Właśnie przystępuję do niej. Dowiedz się, panie, żeś w jej sercu srogiego narobił rwetesu. Prawdziwie można to nazwać cudem. Żaden z dworzan, podówczas kiedy dwór był w Windsorze, nie potrafił tego dokazać. A byli to nielada dżentelmeni, galanty rycerze, karetowe paniątka; tak to prawda, jak że tu stoję. Latały karoty za karetami, listy za listami, prezenta za prezentami, a pachniało to tak miluchnie, samem piżmem; a polyskiwało to tak, mój Boże, od jedwabiu i złota; a miało to na pod ręczu takie słodkie słówka, takie słodkie wina i cukry wykwiwne, że nie wiem, jakiejby nie zbałamuciło kobiety, a przecież, na poczciwość, nie zdołali od niej wymóżyć ani jednego zerknięcia. — Mnie samej położono dziś na stół dwadzieścia aniołów, ale ja drwię ze wszystkich aniołów (ma się rozumieć w tym rodzaju, bo kiedy ich można z uczciwością pogodzić, to co innego). Otóż, mimo tego, ręczę waszej wielmożności honorem, najhojniejszy z pomiędzy nich nie mógł jej nigdy do tego nawet doprowadzić,

żeby z nim z jednego kubka się napila; jednakże byli tam między nimi i grafowie, co więcej, gwardziści przyboczni; ale, na poczciwość, dla niej to wszystko jedno.

Falstaf. Czegóż ona żąda odemnie? chce być zwycięższą, zacna miss Merkury.

Kwikli. Właśnie do tego zmierzam. Odebrała ona list pański, za który mu tysiąc razy dziękuje i oznajmia, że mąż jej będzie nieobecny dziś w domu pomiędzy dziesiątą a jedenastą.

Falstaf. Pomiędzy dziesiątą a jedenastą?

Kwikli. Nie inaczej. Będziesz pan mógł przyjść o tej porze, kazała mi powiedzieć, i zobaczyć ten obrazek, którego jesteś tak ciekawym. Pan Wud, jej małżonek, będzie o tej porze za domem. Niestety, biednej kobiecie smutno z nim wiek upływa; nieznośny zazdrośnik! jak ocet ma z nim pożycie, poczcwiada dusza!

Falstaf. Zatem między dziesiątą a jedenastą! Poźdrów ją odemnie waćpani, nie omieszkać się stawić.

Kwikli. Oświadczę jej to; ale ja mam jeszcze inne do waszej wielmożności zlecenie. Miss Paż przesyła ci, panie, także serdeczne ukłony, a mówiąc między nami, jest to osoba, możesz mi pan wierzyć, tak pełna cnót, kwalifikacji i molestji, osoba tak ściśła w konserwowaniu rannych i wieczornych paciery, jak drugiej niema w Windsorze i być nie może. Kazała mi ona waszej wielmożności powiedzieć, że jej mąż rzadko kiedy z domu wychodzi, ale ma nadzieję, że kiedyś wyjdzie. Nie widziałam jeszcze kobiety tak kreteśnie zakochanej. Na poczciwość, wasza wielmożność musi jakieś czary posiadać; w rzeczy samej, jakieś niepojęte czary.

Falstaf. Bynajmniej, zapewniam waćpanię. Odłożywszy na bok atrakcyjną moc darów, któremi mnie uposażyła natura, nie poczuwam się do żadnego innego czarodziejstwa.

Kwikl. Niech cię, panie, za to nieba błogosławią!

Falstaf. Ale powiedzno mi, proszę, czy te dwie panie zwierzyły sobie nawzajem, jak dalece są we mnie zakochane?

Kwikl. To byłby rozum dopiero! Nie są one, spodziewam się, tak niezgrabne. To byłby żart pocieszny! Ale — o małym nie zapomniała: Miss Paż prosi waszej wielmożności na wszystko, co ci jest drogiem, o przysłanie jej swego małego pazia, a jej mąż jest niewątpliwie zacny człowiek. Niema w Windsorze szczęśliwszej kobiety; co chce, to robi, co chce, mówi; rządzi wszystkim, idzie spać, kiedy jej się spodoba, wstaje, kiedy jej się spodoba; wszystko się dzieje podług jej woli, i zaprawdę, zasługuje na to; bo jeżeli jest w Windsorze miła i uczynna kobieta, w całym znaczeniu tego słowa, to pewnie ona. Musisz jej, panie, posłać swego małego pazia, nic nie pomoże.

Falstaf. Uczynię zadość jej życzeniu.

Kwikl. Uczynię to, panie, natychmiast. Chłopczyzna ten będzie mógł między wami chodzić tam i nazad. Na każdy zaś przypadek trzeba wam mieć umówione słowo, abyście się nawzajem znosić mogli, a chłopiec ten nie zrozumiał o co rzecz idzie: bo to nie dobrze, żeby dzieci o takiej bezbożności wiedziały. Starzy zresztą są lepsi do sekrecji, jak to mówią: znają świat.

Falstaf. Bądź zdrowa i poleć mnie obom tym paniom; oto sakiewka, pozostaję ci jeszcze dłużnym. Idź z tą niewiastą, chłopcze. — Nie posiadam się z tego, co mam posiadać.

Pani Kwikli odchodzi, za nią Robin.

Pistol. Ta cma jest, widzę, jachtem Kupidyna —

Do góry żagle! dalej do dział! Ognia!

Łup mój, inaczej niech morze świat połknie!

Odchodzi.

Falstaf. I cóż ty na to, Jasiu? Drzyj lyka, kiedy się dają. Będę miał odtąd twoje ciało w większym

respekcie. Jeszcze za tobą strzelają oczyma. Po tylu ekspensach suta cię czeka flota. Dziękuję ci, poczywne ciało: niech-sobie, jak chcą, mówią, że to za gruba facecja; byleby się zgrabnie udała, mniejsza o to.

Wchodzi Bardolf.

Bardolf. Sir Dżonie, jest tam w sieni jakiś pan Strug; chciałby pomówić i zapoznać się z tobą. Przysłał ci gąsior wina na ranny łyk.

Falstaf. Nazywa się Strug?

Bardolf. Tak się nazwał.

Falstaf. Niech wnijdzie.

Bardolf odchodzi.

Pożądane mi takie Strugi, które takim płynem wzbierają. Aha! mościa Paż i mościa Wud, nie dojechałem was siarczyście? Płynmy dalej! *Va via!*

Bardolf wraca z Wudem przebranym.

Wud. Bądź pozdrowion, rycerzu.

Falstaf. I waćpan nawzajem. Chciałeś, panie, mówić ze mną?

Wud. Wybacz mi, rycerzu, że ci się tak bez ceremonji narzucam.

Falstaf. Miłym pan jesteś gościem; jakież jego zdanie? Kelnerze, zostaw nam samych.

Bardolf odchodzi.

Wud. Rycerzu, widzisz przed sobą człowieka, który siła grosza wyszastał. Nazywam się Strug.

Falstaf. Zacny panie Strug, radbym z panem bliższą zabrać znajomość.

Wud. Zacny sir Dżonie, niemniej mi idzie o pańską, nie przeto abym chciał być panu natrętnym; bo muszę go uprzędzić, iż pod względem możności pozyczenia pieniędzy, sędzę się tęższym od niego; i to mnie osmieliło do tak niewczesnego napastowania jego osoby w tej dobie; przysłówie mówi bowiem: gdzie pieniądz idzie przodem, tam wszelkie drogi otwarte.

Falstaf. Pieniądz dobry żołnierz, zawsze idzie naprzód. Wud. W rzeczy samej; właśnie mam tu przy sobie worek, który mi zawadza. Gdybyś był tak łaskawym, sir Dżonie, i chciał mi do dźwigania go dopomóc, oddałbym ci go w części lub w całości, jedynie dla pozbycia się ciężaru.

Falstaf. Mości panie, nie wiem doprawdy, przez co zasłużyłem na zaszczyt stania się tragarzem jego ciężarów.

Wud. Zaraz ci to, panie, opowiem, jeżeli mnie raczysz wysłuchać.

Falstaf. Mów, drogi panie Strug, miło mi będzie mózdz ci wygodzić.

Wud. Jesteś, panie, uczonym mężem, jak słyszałem — w krótkości rzecz ci przetożę — i byłeś mi już znanym oddawna, lubo co do mnie, nie miałem nigdy tyle sposobności ile chęci stania ci się znajomym. Zamierzam ci odkryć jedną rzecz, przyczem wprawdzie zmuszony będę wydać na jaw moje niedoskonałości; ale, czcigodny sir Dżonie, patrząc jednym okiem na moje wady, które ci mam stawić przed oczy, chciej zwrócić drugie na rejestr swoich własnych, abym mógł o tyle łatwiej uniknąć twoich zarzutów, o ile ci samemu z bliska będzie wiadomem, jak łatwo one stają się ludzkim udziałem.

Falstaf. Bardzo dobrze, panie; cóż dalej?

Wud. W tutejszem mieście żyje pewna niewiasta, mąż jej nazywa się Wud.

Falstaf. Dobrze, panie.

Wud. Oddawna ją kocham, i zaprawdę nie mało na nią straciłem; ubiegałem się o nią z namiętą zaciętością, chwyciłem okazje spotykania jej; przepłacałem każdą najmniejszą sposobność, która mnie mogła choć skąpo jej widokiem obdarzyć. Nietylko jej kupowałem prezenta, ale i innych szczerze obsypanyłem darami, jedynie dla dowiedzenia się, jaki

dar może jej być przyjemnym. Ściagałem ją, tak jak mnie miłość ścigała, na skrzydłach wszelkich możliwości. Ale na jakąkolwiek nagrodę bądź uczuciami, bądź zabiegami mojemu zasłużyłem, to pewna, że nie otrzymał żadnej. Doświadczenie jest chyba rzadkim klejnotem, bom je nabył niesłychanym kosztem, i ono mnie nauczyło tej prawdy:

Jak cień ucieka miłość przed żądzą pogonią;

Stroni gnana, a goni tych, co od niej stronią.

Falstaf. Nie otrzymałeś waćpan od niej żadnej nadziei wzajemności?

Wud. Żadnej.

Falstaf. Nie zdołałeś nigdy zgruntować jej serca?

Wud. Nigdy.

Falstaf. Jakiegoż u licha rodzaju była miłość waćpana?

Wud. Była ona na kształt pięknego domu na obcym postawionego gruncie; postradałem mój budynek, bom się poszkapił co do miejsca, na którym fundowałem jego erekcję.

Falstaf. W jakimże celu czynisz mi waćpan to odkrycie?

Wud. Skoro ci, panie, to powiem, to już wszystko będziesz wiedział. Zapewniają, że jakkolwiek względem mnie ukazuje się tak uczciwą, względem innych posuwa tak daleko wesołość, że o tem mówią rozmaicie. To właśnie jest jądrem próśby, z jaką do ciebie przychodzę, sir Dżonie. Jesteś mężem szlachetnie urodzonym, wzorowo wychowanym, zdumiewająco wymownym, mającym rozległe stosunki, zacnym z krwi i z osoby; powszechnie szanowanym jako rycerz, dworak i uczony.

Falstaf. O, panie.

Wud. Wierz temu, bo sam wiesz, że tak jest. Oto pieniądze: syp niemi, syp, syp, ile zechcesz; syp wszystkim, co posiadam, bylebyś mi w zamian tyle

tylko czasu poświęcił, ile potrzeba będzie do przełamania cnoty tej niewiasty. Użyj wszelkich znanych ci sztuk zalotniczych, trzymaj ją póty w obłęzieniu, aż ją zmusisz do kapitulowania. Jeżeli jest kto na świecie zdolny tego dokazać, ty, panie, prędzej niż ktokolwiek.

Falstaf. Czyliżby to dogodziło sile pańskich afektów, gdybym pozyskał to, co sam chcę posiadać? Zdaje mi się, panie, że dybiesz na własny swój interes.

Wud. Chciej tylko mój plan zrozumieć, rycerzu. Ona tak bezpiecznie mieszka za sąńcem swojej dobrej sławy, że głupota duszy mojej nie śmie się na jaw pokazywać: ona tak jasno świeci, że oczu na nią podnieść nie można. Gdybym mógł przyjsć do niej uzbrojony jakim pre Judykatem, żądze moje znalazłyby asumpt i zasadę do rozszczenia równych pretensji i mógłbym ją wtedy wyparować z swej warowni cnot, reputacji, małżeńskich obowiązków i tyłu innych miejsc obronnych, które mi ją teraz czynią niedostępną. Cóż pan na to, sir Dżonie?

Falstaf. Mości Strugu, przedewszystkiem poważę się schować twoje pieniądze; następnie prosić cię o podanie mi ręki; zapewniam cię naręcznie słowem szlacheckiem, że będziesz posiadał żonę Wuda, ile tylko zechcesz.

Wud. O, pełen szlachetności rycerzu!

Falstaf. Mości Strugu, powiadam panu, że będziesz ją posiadał.

Wud. Nie oszczędzaj pieniędzy, sir Dżonie, pieniądze nie zbraknie.

Falstaf. Nie oszczędzaj Wudowej, mości Strugu, Wudowej nie zbraknie. — Muszę ci się przyznać, że wkrótce mam być u niej na własne jej wezwanie. Na chwilę przed twojem przybyciem wyszła stąd jej powiernica pośrednicząca między nami. Między dziesiątą a jedenastą mam być u niej, bo o tej porze

zadzrosny nieokrzesany gbur, jej mąż, będzie za domem. Przyjdź do mnie, panie, wieczorem, a powiem ci, jak mi się powiodło.

Wud. Znajomość pańska jest dla mnie istnem błogosławieństwem. Czy znasz, panie, tego Wuda?

Falstaf. Kat mi tam po tym biednym rogatym dudku! Nie znam go wcale — ale prawda, niestusnie go nazywam biednym, bo ten zazdrosny dobroduszny rogacz ma, jak mówią, masy złota, i to właśnie czyni mi jego żonę tak powabną. Użyję jej za klucz do szkatuł rogacza i będę w nich gospodarował jak w swoich.

Wud. Radbym, panie, żebyś znał Wuda, abys mu się mógł wymknąć, gdy go spotkasz.

Falstaf. Bierz licho tego mieszczańskiego chama! Pomieszam mu wszystkie cztery klepki; kijem tym utrzymam go w ryzie, unosić się on będzie jak meteor nad głową rogacza Mości Strugu, bądź spokojny; biorę na siebie tego gbura, a żona jego będzie twoją. Przyjdź do mnie dziś wieczór. Wud cymbał i wkrótce z mojej łaski będzie miał jeszcze piękniejszą tytulaturę. Waćpan, mości Strugu, będziesz świadkiem, jak go ustroję. Przyjdź jeno do mnie dziś wieczór. Odechodzi.

Wud. Cóż to za bezczelny epikurejski hultaj! Ledwie mi serce z niecierpliwości nie pękło. Któż teraz powie, że moja zazdrość była bezzasadną? Moja żona przysyłała do niego; godzina umówiona, bezwstyd gotowy. Któżby się był tego spodziewał! Otóż to tak mieć fałszywą żonę: gorszego nad to piekła być nie może! Moje łóże ma być splamione, moje kufry złupione, moje dobre imię zbezczeszczone. Nie dość na tem, że tak haniebną krzywdę ponoszę, muszę jeszcze być postawionym pod pręgierzem najohydniejszych nazw i to przez tego właśnie, który mi tę krzywdę wyrządza! — Przebóg! Mefistofel brzmi

nieźle i Lucyper nieźle i Belzebub nieźle, a przecież są to szatańskie przydomki, nazwiska złych duchów; ale rogacz, rogacz, rogacz! sam djabeł takiego miana nie nosi. Paź jest osłem, wierutnym osłem! on ufa swojej żonie, nie chce słyszeć o zazdrości. Prędzej-
bym jakiemu Flamandczykowi powierzył moje sery, jakiemu Irlandczykowi mój skład wódczany, złodziejowi mojego wałacha, niż żonę moją samej sobie. Spuść jeno z oczu taką jejmość, juźci i intrygi, spiski, konszachty. Co sobie która w głowie ułoży, to musi wykonać; choćby kark skręcić miała, musi wykonać. Niebu niech będą dzięki, że mnie natchnęło zazdrością! Jedenasta więc jest godziną umówioną — muszę zapobiedz temu, zdemaskować niewierną, zemścić się na Falstafie i wyśmiać Pazią. Spieszmy bez zwłoki; lepiej przybyć o trzy godziny za wcześniej niż o minutę za późno. Fuj, fuj, fuj, rogacz! rogacz! rogacz! Wychodzi.

SCENA TRZECIA.

Park w Windsorze.

Wchodzi Kajus i Rugby.

Kajus. Rugby!

Rugby. Jestem, panie.

Kajus. Rugby, która kosina?

Rugby. Już ta godzina minęła, panie, o której sir Hugo miał się stawić.

Kajus. On osalił swoją duszę, że on nie psized, on dopse szital swoją bibłę, że on nie psized. Par Dieu! Rugby, on bil trup, żebi on bil psized.

Rugby. Ma on rozum, panie, wiedział dobrze, czem to pachło, gdyby był przyszedł.

Kajus. Par Dieu! żaden śles nie żest tak umarti, żak za bi go srobił umarti. Wesz twój rapier, Rugby, za si pokaże, żak za bil go srobił umarti.

Rugby. Ach, panie, nie umiem robić bronią.

Kajus. Miserable, wesz twój rapier.

Rugby. Łaski, panie, oto nadchodzą jacyś panowie.

Wchodzi oberżysta, Szallow, Slender i Paź.

Oberżysta. Bądź pozdrowion, birbancie Eskulapie!

Szallow. Witaj nam, przezacny konsyljarzu.

Paź. Jak się mamy, kochany zbawco naszych ciał.

Slender. Życzymy ci dnia dobrego, mości doktorze.

Kajus. Po co waść psziszło tile tu: jeden, dwa, tsi, szytri?

Oberżysta. Zobaczyć cię walczącego, zobaczyć cię godzącego na ostrze, zobaczyć cię trawesusującego, zobaczyć cię tu, zobaczyć cię tam, zobaczyć twoje punta, sztokata, retirady, dystanse, montanta. Gdzież się podział ten walijski klecha? Czy już nie żyje? Mów, stary birbancie! Galenie! złote serce, mów! Czy już nie żyje ten birbant ksiądz, czy już nie żyje?

Kajus. Par Dieu! On jest najmizerniejszy tkursz z księsa, który kiedi existował na świecie; nie pokazał mi swój twarz.

Oberżysta. Prawdziwy z ciebie król Krystalji, don Seryngo, grecki Hektor! mój chłopcze.

Kajus. Ża was proszę słuźis mni za świadek, że tu bilem szekaś na niego sześ szi sidem, dwa szi trsi kosiny, a on nie psziszed.

Szallow. Dał on dowód roztropności, mości doktorze; on jest lekarzem dusz, a waćpan jest lekarzem ciał; bijąc się bralibyście pod włos waszą profesję. Nieprawdaż, mości Paziu?

Paź. Mości Szallow, waćpan sam byłeś kiedys za wońanym rębaczem, choć teraz jesteś stróżem pokoju.

Szallow. Do kroćset kling, choć to człowiek teraz stary i trzyma się strony pokoju, jak zobaczę gołą szpadę, świerzbiać mnie palce, żeby dawnych pchnięć popróbować. Chociaż to z nas sędziowie pokoju,

doktorzy i służy kościoła, mości Paziu, jest w nas przecie zawsze jakaś żyłka młodości. Kobieta nas rodzi, mości Paziu, kobieta rodzi.

Paź. Masz w tem zupełną słuszość, mości Szallow.

Szallow. Niestety, codziennie się o tem przekonujemy, mości Paziu. Mości doktorze, przyszedłem tu celem odprowadzenia do domu waszmość pana. Jestem przysięgłym sędzią pokoju. Okazałeś się wacpan dobrodziejem roztropnym medykiem, a sir Hugo okazał się roztropnym i uległym sługą kościoła: musisz przeto pójść ze mną.

Oberżysta. Za pozwoleniem, birbancki sędzio.—Jedno słowo, zajrzywodo.

Kajus. Szarżiwodo! so to jest?

Oberżysta. Wyraz ten oznacza po angielsku męstwo, birbancie.

Kajus. Żeżeli tak żest, to za mam szarżiwodi tile so kaździ Anglik. *Sacré* pies person! Za mu pude obśiąś żego uszi.

Oberżysta. Wygrzmoci cię, birbancie.

Kajus. Vikrszmosi! so to żest?

Oberżysta. To znaczy, że cię przeprosi.

Kajus. *Par Dieu!* Zobaszimi, szimni virkrszmosi. Niek mni vikrszmosi; za tego ksę.

Oberżysta. Już ja go skłonię do tego. Niech wisi, jeżeli nie zechce.

Kajus. Za wam za to siękuje.

Oberżysta. Nie dość na tem, birbancie, ale pierwszej cicho do innych ty zawadżaku sędzio, ty paliwodo Paziu i waszmość, kawalerze Slenderze, udajcie się przez miasto do Frogmore.

Paź. Sir Hugo tam jest, nieprawdaż?

Oberżysta. Jest tam: możecie sobie wystawić, co się z nim dzieje. Ja tymczasem poprowadzę tam doktora przez pole. Czy idziecie?

Szallow. Natychmiast.

Paź, Szallow i Slender. Bywaj zdrów, kochany doktorze.

Wychodzą.

Kajus. *Par Dieu!* za poloszę na śmierć ten ksiąs, bo on stawiał szę za żakisz pies klop do Anna Paź.

Oberżysta. Zmasakrujesz go na miazgę: ale wprzód schowaj niecierpliwosć do pochwy; polej gorączkę zimną wodą i pójdz ze mną polem do Frogmore. Anna Paź tam jest na folwarku; będziesz się jej mógł zalecać do woli. Cóż waść na to, mój Lowelasie?

Kajus. *Par Dieu!* za wam za to siękuję; *par Dieu!* za was kokam i za ksę wam sprokurować dobra praktyka, *des comtes, des lords, des gentlemen*, moi pasienti.

Oberżysta. A ja za to będę adwersarzem twojej sprawy przy Annie Paź. Dobrze tak?

Kajus. *Par Dieu!* dobsze, barso dobsze.

Oberżysta. A więc marsz!

Kajus. Za mną. Zak Rugbi!

Wychodzą.

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

Pod Frogmore.

Sir Hugo Ewans i Sympel.

Ewans. Pofidz mi, prosze, topry pana Slender słuگو i przyjaczelu Sympel z nasfiska, na która droga szukalesz pan Kajus, czo się nasyfa toktor metycyna?

Sympel. Na drodze do Londynu; na drodze do zwierzynca: wszędzie, wyjąwszy na drodze do miasta.

Ewans. Proszę cię najkfałtofniej popatrz i tamuj.

Sympel. Dobrze, panie.

Ewans. Poże smiłuj się natemną! Taki jezdem pełny kniefu, tak mi fre f tuszy! — Pyłpym kontent, rżepy mnie opszukał. Tak mnie jakos melankolja nagapa! Dalipuk rospiję mu o kłowa jego flaszki z fodą, jak tylko pędę miecz do tego sposopnoszcz. Poże, smiłuj się natemną!

Śpiewa.

Nat przęgiem fut, kdzie ptakuf rut

F zafody szpifa kiepy s nut,

Usadźym sopie klompa z rusz

I krżęty kfiatuf f szerż i f stłusz,

Nat przęgiem fut —

Poże, pąż mi miłoszczif! Mam fielką tyzpozyszją fikrzyknącz:

Nat przęgiem fut, prźmi ptakuf rut

A ja tu stoi kiepy put,

Nat przęgiem fut —

Sympel. Idą już, panie, idą.

Ewans. Szczekam na nich.

Nat przęgiem fut, kdzie ptakuf rut —

Niepa fspirajcze sprafiedlifego! — Jaki on ma proń z sopą?

Sympel. Nie ma żadnej broni. Widzę tu tylko idącego mojego pana, sędziego Szallow i jednego jeszcze obywatela ścieżką od Frogmore; nic więcej.

Ewans. Proszę cię, daj mi moja suknią; alpo sresztą zdrzymaj ją f sfojem opięczu.

Wchodzą Paż, Szallow i Slender.

Szallow. A! wszakżeż to nasz pasterz! Witaj, czciogodny ojczu Hugonie! Wstrzymajcie gracza od kości, a uczonego od książki, a nielada sztuki dokażecie.

Slender. Ach, droga panno Anno!

Paż. Bóg z wami, ojczu Hugonie!

Ewans. Niech miłosierdże jego pędże sfami!

Szallow. Jaktó? modlitwa i bitwa? Zatrudniasz się tem i owem, ojczu parsonie?

Paż. Do tego jeszcze tak młodzieńczo w samym kaftanie i spodniach przy dniu tak przejmująco chłodnym?

Ewans. Ma to sfoje przyczyny i pofoty.

Paż. Przyszliśmy tu do ciebie w celu prawdziwie chrześcijańskim, mości parsonie.

Ewans. Pardzo doprze: jakisz on jezdz.

Paż. Jest tam pewien ze wszech miar zacny obywatel, który zostawszy, jak się zdaje, przez kogoś obrażonym, tak dalece zapomniał o swojej godności i powadze, że świat nic podobnego nie widział.

Szallow. Noszę już cztery medle lat z okładem na karku, a jeszcze mi się nie zdarzyło napotkać człowieka tej nauki i polityry, tak niedbałego o powagę.

Ewans. Czo on jezdz?

Paż. Zdaje mi się, że go znasz, Sir Hugonie; jestto doktor Kajus, ów sławny lekarz francuski.

Ewans. Przez Puk rżywy i jego szfięte rany! Nie mili by mi pyło usłyszysz o porszja parszcz s rura.

Paż. Jaktó? Dłaczego?

Ewans. On nie fi, tszy pył na szficze jaki Hibogrates i Kalen; a do tego jezdz tchurż, tak potły tchurż, jak ino sopie rżyczcz mórzna.

Paż. Ręcę wam, że to jest właśnie ów przeciwnik, co się z nim miał pojedynkować.

Slender. O, droga panno Anno!

Szallow. Tak się zdaje, wnosząc po uzbrojeniu. Trzymajcie ich zdaleka od siebie — oto doktor Kajus.

Wchodzą: oberżysta, Kajus i Rugby.

Paż. Kochany parsonie, schowaj oręż do pochwy.

Szallow. Uczynń waćpan to samo, kochany doktorze.

Oberżysta. Rozbrójmy ich i wybadajmy. Niech sobie jak chcą kaleczą nasz język, byleby ich członki były całe.

Kajus. Proszę waszmosi pozwolis mni powiesić słówko na uko. Dłaczego si nie stawil na rendez-vous?

Ewans. Proszę wazpan miecz cierplifoszcz; mi się fitumaczy.

Kajus. *Par Dieu!* Waszmość jest tkursz, zajęsza skurka, bez szsi i wiari.

Ewans. Zaklinam wazpan, nie fistafiacz się my na szmich. Zaklinam wazpan, jak przyjaciel; dam wazpan tak lup ofak satysfakszja. Rozpije mu o łep jego naczyń z foda, za niedodrzymanie umofa i zopowiazanie.

Kajus. *Diable!* Jean Rugbi — moi gospodarz *de la jarretiere*, nie szekałem-że za na niego, żeby go zabiś! nie bilem-że za na umówione miejsce?

Ewans. Na spafienie tuszy moi, umufone miejsce jezd tu. Narz kospodarz s pot Potfiaska niech pędze mój sędza.

Oberżysta. Cicho Wallio i Gallio! Frankończyku i Walijczyku! lekarzu ciał i lekarzu dusz, cicho!

Kajus. Ah, to barso dobrze powiesiane, wibornie!

Oberżysta. Cicho, mówię. Postuchajcie waszego gospodarza z pod Podwiązki. Ażalim ja polityk? ażalim ja krętacz? ażalim ja Machiawel? Mamże utracić mego doktora? Nigdy! On mnie obdarza swojemi receptami i konceptami. Mamże utracić mego parsona? mego pasterza? mego sir Hugona? Nigdy! On mnie buduje swoją instrukcją i konstrukcją. Tamtemu winienem solucje a temu absolucje. Podaj mi rękę, ziemski synu; ot tak! Podaj mi rękę, synu nieba; ot tak! A teraz zwolennicy światła, dowiedziecie się, żem zadrwił z was obudwóch; postawiłem was w odwrotnych miejscach. Serca wasze są walczne, skóry wasze całe i warzone wino na was czeka! — Oddajcie mi w zakład orężę. Za mną, przyjaciele pokoju; za mną, za mną, za mną!

Szallow. Na honor, to wściekły człowiek ten nasz gospodarz. — Za nami panowie, za nami!

Slender. Ach, droga panno Anno!

Wychodzą: Szallow, Slender, Paż i oberżysta.

Kajus. Ha! ha! jeżeli się nie miłę, wistriknęli nas na duede. Ha! ha!

Ewans. W istocze, staje się rze s naz sagpili. Moczy toktor, proszę wazpan, pądzmy przyjaczele, i stammy sopie klofy, jetynie rżepy zemszczycz się na ten skurczypalek, hurfis, kospodarz z pot Potfiaska.

Kajus. Salem sersem. On psziszekł zaprowadziś mni do Anna Paż: *par Dieu!* on mni oszukał w *double*.

Ewans. No, no; jurż ja jemu nasiąknę huszy. — Sturżę fam, moczy toktor.

Wychodzą.

SCENA DRUGA.

Ulica w Windsorze.

Wchodzi: Pani Paż i Robin.

Pani Paż. Naprzd, mały zuchu. Przyzwyczaieś się chodzić z tyłu, spróbujże teraz iść przodem. Jakże wolisz, czy kierować moje oczy, czy wlepiac swoje w piętę twego pana?

Robin. Jużci wolę iść przed panią jak człowiek, niż się wlec za nim jak ogon.

Pani Paż. Pochlebniś z ciebie; przewiduję, że się wykierujesz na dworaka.

Wchodzi Wud.

Wud. Witam waćpanię. Gdzie tak skoro?

Pani Paż. Do żony waćpana. Czy jest w domu?

Wud. Jest ci, jest, i śmiertelnie się nudzi z braku towarzystwa. Przysiąglbym, że gdyby wasi mężowie poumierali, nie byłybyście samotne.

Pani Paż. Naturalnie — bobyśmy miały innych mężów. Wud. Skądżeś to waćpani dostała tego gładkiego kogucika?

Pani Paż. Nie wiem doprawdy, jak się nazywa ten rycerz, od którego mój mąż go dostał. Jak się nazywa twój pan, chłopcze?

Robin. Sir Dżon Falstaf.

Wud. Sir Dżon Falstaf!

Pani Paź. Tak, tak; nie mogę sobie nigdy przypomnieć tego nazwiska. To taka nierozzerwana przyjaźń z moim mężem! — Czy pewnie żona pańska jest w domu?

Wud. Najpewniej.

Pani Paź. Wybacz więc waćpan — chora jestem, jak jej nie widzę.

Odchodzi z Robinem.

Wud. Czy Paź głowę utracił? czy oczy utracił? czy zmysły utracił? One śpią u niego, to rzecz pewna, nie pełnią swoich funkcji. Ten chłopiec przebiegnie z listem dwadzieścia mil łatwo, jak łatwo kula dobrze wyrzuczonej armaty dwadzieścia razy trafi do celu. On potakuje miłośnikom swojej żony, przypina skrzydła jej szaleństwu, samochcąc toruje im drogę. I otóż ona idzie do mojej żony, a z nią chłopiec Falstafa. Można przy największym wicherze usłyszeć deszcz tej intrygi. Z nią chłopiec Falstafa! Spisek uknuty najkompletniej i nasze przeniewiercze żona dziela na równi potępienie. Pójdź złapać tego łotra, żonę moją wsadzić na tortury, zrzucić zwodniczą maskę z tej jej niby świętej kumoszki, ogłosić Pazią dobrodusznym Akteonem, frycem rogatym i całe sąsiedztwo poklaskiwać będzie mojemu postępkowi.

Bije godzina.

Zegar ostrzega mnie o terminie; przezorność nagli mnie, Falstafa już zastanę. Chwalić mnie będą nie ganić; bo że Falstaf sam jest, to rzecz tak pewna, jak to, że ziemia stoi. Idźmy.

Wchodzi: Paź, Szallow, Slender, oberżysta, sir Hugo Ewans,

Kajus i Rugby.

Szallow, Paź i Innl. Witaj, kochany sąsiedzie.

Wud. W samą porę przychodzą. Mam coś smacznego w domu; proszę wszystkich panów z sobą.

Szallow. Wybacz mi, sąsiedzie, nie mogę ci służyć.

Slender. I ja nie mogę służyć waćpanu, sąsiedzie. Przyrzekliśmy być dziś na obiedzie u panny Anny Paź; nie radbym z nią zadrzeć za żadne pieniądze, nawet te, których się za nią spodziewam.

Szallow. Pracujemy już oddawna nad sklejeniem małżeństwa między nią a obecnym tu moim siostrzaniem Slenderem, i dziś mamy dostać odpowiedź.

Slender. Spodziewam się, że jesteś za mną, ojczyste Paziu.

Paź. Nieinaczej, mości Slenderze; trzymam twoją stronę najzupełniej; ale moja żona oddana jest doktorowi duszą i ciałem.

Kajus. *Oui, par Dieu!* i panna mni koka; moi gospodini Kwikli muś to powiesiał.

Oberżysta. Cóż mówicie o młodym Fentonie? Skacze, tańczy, iskry rzuca wzrokiem, pisze wiersze, mówi jak z książki, pachnie jak poranek majowy; on ją dostanie, on ją dostanie; jemu żytko kwitnie, on ją dostanie.

Paź. Przynajmniej nie z mojem przyzwoleniem, ręczę wam. To panicz bez funduszu; przestawał z naszym rozpustnym księciem i Poinsem; z za wysokiej on sfery, za wcale on wie. Nie, nie; nie zawiąże on ani supelka lepszego losu palcem mojej fortuny. Jeżeli ją ma wziąć, niech ją weźmie gołą; majątek mój czeka na moje przyzwolenie, a moje przyzwolenie nie chodzi tą drogą co pan Fenton.

Wud. Proszę was, błagam was, moi panowie; we trzech przynajmniej pójďte do mnie na obiad. Prócz obiadu będziecie jeszcze mieli zabawę; pokażę wam potwora. Mości doktorze, wszakże, pójdziesz — i waćpan, mości Paziu, i waćpan także mości Hugonie?

Szallow. Jeżeli idziecie, bądźcie zdrowi — my tymczasem będziemy mogli tem swobodniej odprawiać nasze konkury.

Szallow i Slender odchodzą.

Kajus. Rugby, isz presz do domu, za powrócę wkrótce.

Rugby odchodzi.

Oberżysta. Bądźcie zdrowe, moje serca: ja sobie pójdę do mojego poczciwości Falstafa, puścić z nim krwi jakiej butelczynie. Odchodzi.

Wud na stronie. Ja mu samemu podobno pierwej krwi upuszczę: będzie mi tańcował. Jakże moi panowie, czy idziecie?

Wszyscy. Idziemy, idziemy, zobaczyć tego potwora.

Wychodzą.

SCENA TRZECIA.

W domu Wuda.

Wchodzą pani Wud i pani Paź.

Pani Wud. Hej! Dżonie! Robercie!

Pani Paź. Żywo, żywo! Czy kosz już jest? —

Pani Wud. Zaraz będzie. — Robercie! hej! Robercie!

Wchodzą służdy z koszem.

Pani Paź. Prędzej, prędzej, prędzej.

Pani Wud. Postawcie go tu.

Pani Paź. Powiedźcie im, co mają czynić; czas nagli.

Pani Wud. Pamiętajcie, com wam powiedziała, bądźcie tu zaraz obok w browarze; a jak was zawołam, przyjdźcie natychmiast i bez żadnej ceremonji weźcie ten kosz na plecy. Wziąwszy go, dalej z nim co żywo ku gospodzie praczek na Datchet. Tam dochoźdząc, skręćcie i wytrząśnicie go w błotnisty dół nad Tamizą.

Pani Paź. Będziecież pamiętać?

Pani Wud. Jużem im dosyć w uszy nakładła: nie potrzebują dłuższych instrukcji. Idźcie i bądźcie w pogotowiu, jak się was zawoła.

Służdy odchodzą.

Pani Paź. Otóż mały Robin.

Wchodzi Wud.

Pani Wud. Cóż tam, mój szczygiełku, jakąż mi zaśpiewasz nowinę?

Robin. Sir Dżon, mój pan, jest u twej tylnej furtki, pani, i pragnie być wpuszczonym.

Pani Paź. Ale czyś tylko nas nie zdradził, mój ty Kupidynku?

Robin. Przysięgam na to; mój pan nic o tem nie wie, że pani tu jesteś; zagroził mi wypuszczeniem na wolność, jeżelibym pani o tem powiedział, bo przysiągł, że mnie odpędzi.

Pani Paź. Wyborny z ciebie chłopiec: to twoje milczenie będzie krawcem, który ci uszyje nową kurtę i spodnie. — Idę się ukryć.

Pani Wud. Zrób tak. — Idź, powiedz twemu panu, że jestem sama. Miss Paź, pamiętajże o swojej roli.

Robin odchodzi.

Pani Paź. Bądź spokojną; jeżeli w czem uchybię, wolno ci będzie mnie wygwizdać. Odchodzi.

Pani Wud. Niechże teraz przyjdzie! nauczymy tę niezdrówą wilgoć, tę wodnisto-pękata dynię rozróżnić gołębie od kawek.

Wchodzi Falstaf.

Falstaf. Pozyskałem więc ciebie, mój niebiański klejnocie? O, teraz mogę umrzeć, bo dość już żyłem dla szczęścia. Tu cel mojej dumy. Błogosławiona ta chwila!

Pani Wud. O, luby sir Dżonie!

Falstaf. O mościa Wud! nie umiem cedić słówek, nie umiem palić duserów, mościa Wud. Pozwól mi zgrzeszyć życzeniem: radbym, żeby twój mąż był trupem; wobec najpierwszych lordów powiedziałbym wtedy: oto moja królowa, oto moja ledy.

Pani Wud. Ja twoją ledy, sir Dżonie? niestety opłakanaby to była ledy.

Falstaf. Niechno mi dwór francuski pokaże taką drugą! Wystawiam sobie, jakby twoje oko w zawody

szo z djamentem, brwi twoje krągła się w łuk tak właśnie jak potrzeba; do takiej oprawy najzawieszystszy fjok wenecki stosownym by był przyborem.

Pani Wud. Zwyczajny czepiec chyba, sir Dżonie: oprawa oczu moich dla takiego tylko stosowna, a i to jeszcze ładajako.

Falstaf. Zdracznicią jesteś, mówiąc w ten sposób: najkompletniejsza dama dworu byłaby z ciebie; zasadna budowa nóg twoich nadawałaby towarzyszom poruszeniom coś majestatycznego pod półkolistym robieniem. Wyobrażam sobie, czem byś była, gdyby los nie był twym wrogiem. Natura pokochała ciebie: nie taj dłużej jej darów.

Pani Wud. Wierzaj mi, panie, że tego co mi przynajdziesz, nie posiadam.

Falstaf. Cóż sprawiło, że się w tobie zakochał? co wznosi zapał mój ku tobie? osądź stąd, że musisz coś nadzwyczajnego posiadać. Widzisz sama, nie znam się na jedwabnych słówkach; nie umiem prawić, że jesteś tem i owem, nakształt owych szepłeniących młodzieniaszków, podobnych do bab w męskim stroju, a pachnących jak kram apteczny. Nie umiem tego; niemniej dlatego kocham ciebie; ciebie jedną, wyłącznie ciebie, i godną tego jesteś.

Pani Wud. Nie uwodź mnie, o panie. Pani Paż jest ci podobno także miłą.

Falstaf. Tak samo byś mogła powiedzieć, że mi jest miłą przechadzka w turmie, którą się brzydzą tak jak dymem wapiennego pieca.

Pani Wud. Ha, kiedy tak, niebu tylko wiadomo jak cię kocham i wkrótce się o tem przekonasz.

Falstaf. Trwaj w tem usposobieniu, potrafię je usprawiedliwić.

Pani Wud. Już się usprawiedliwił, rycerzu; inaczej nie byłoby we mnie powstało.

Robin za sceną. Pani! pani! jest tu w przedsienu miss Paż, spocona, zaperzona, niepodobna do siebie; koniecznie chce z panią mówić natychmiast.

Falstaf. Niech Bóg broni, żeby mnie tu zastała: schowam się za to obicie.

Pani Wud. Na Boga, schowaj się, rycerzu: ta kobieta ma strasznie długi język.

Falstaf chowa się za obicie. — Wchodzi Pani Paż i Robin.
Co to jest, co się stało?

Pani Paż. O, sąsiadko, cóżś zrobiła! Ostawioną jesteś, zgubioną, zaprzepaszczoną na wieki.

Pani Wud. Cóż to znaczy, kochana sąsiadko, coż to znaczy?

Pani Paż. Pięknież to z twojej strony, miss Wud? Mając tak zacnego męża, dawać mu taki powód do podejrzeń?

Pani Wud. Jaki powód do podejrzeń?
Pani Paż. Jaki powód do podejrzeń? — Wstydz się, mościa pani! fatalnie się na niej zawiodłam.

Pani Wud. Ależ na Boga, co to znaczy?

Pani Paż. Mąż waćpani będzie tu za chwilę z całą gromadą urzędników sądowych celem szukania jakiegoś jegomości, który, jak mówią, ma się tu znajdować za wiedzą pani i przyzwoleniem, dla haniebnego korzystania z jego nieobecności. Zgubioną jesteś.

Pani Wud na stronie. Mów głośniej! Głośno. Nie sądzę, aby tak było.

Pani Paż. Daj Boże, aby to było fałszem, że tu masz u siebie jakiegoś mężczyznę! bo to pewna, że twój mąż idzie tu szukać kogoś takiego i prowadzi za sobą cały Windsor. Pobiegłam naprzód, żeby cię o tem uprzedzić; jeżeli się czujesz niewinną, szczerze się z tego cieszę; ale jeżeli tu masz jakiego przyjaciela, oddal go, oddal go czempredzej. Otrząśnij się ze zdumienia, zbierz zmysły; ratuj swą dobrą sławę, albo powiedz jej na zawsze dobranoc.

Pani Wud. Cóż mam czynić, biedna? — Jest ci tu jeden drogi memu sercu przyjaciel, którego niebezpieczeństwo więcej mię obchodzi niż wstyd własny. Dałabym chętnie tysiąc funtów, żeby się mógł stąd jako wydobyć.

Pani Paź. Właśnie tu czas mówić: »dałabym chętnie.«
Maż twój będzie tu za lada moment; trzeba radzić co żywo: ukryć go w domu nie możesz. — O, jakże się zawiodłam na tobie! — Ha! oto kosz od bielizny; jeżeli to umiarkowanej tuszy człowiek, niech w niego wlezie, a my go przykryjemy brudami. Właśnie nadchodzi pora prania; każ go więc swoim ludziom zanieść na Datchet do praczek.

Pani Wud. Niestety! on bardzo tłusty! nie zmieści się: cóż ja pocznę?

Falstaf występuje.

Falstaf. Pokażcie mi go! pokażcie mi go! o, pokażcie! Zmieszczę się, dalibóg zmieszczę — dobra rada — zmieszczę się jak nic.

Pani Paź. Co widzisz? sir Dżon Falstaf! Twojeż to listy, rycerzu?

Falstaf. Kocham cię, ciebie nad wszystko; pomóż mi się stąd wydostać, jak nic się zmieszczę. Póki życia — kładzie się w kosz; kobiety przykrywają go brudami.

Pani Paź. Pomóż przykręcić pana, chłopcze: miss Wud, przywołajno moich ludzi. O, przeniewierczy rycerzu!

Pani Wud. Hoła, hej, Dżonie! Robercie! Dżonie!
Robin wychodzi. Szudzy wychodzą. Zabierzcie stąd ten kosz z brudami. Dalej! Gdzież macie nosze? Co to za mitręgi! Zanieście go na Datchet do mojej praczki. Żywo, żywo!

Wchodzą Wud, Paź, Kajus i Hugo Ewans.

Wud. Proszę panów bliżej. Jeżeli moje podejrzenia płonne, wolno wam będzie palcami mnie wytykać, zrobić mnie celem szyderstwa całego Windsoru. Wart tego będę. — Cóż to? gdzie to niesiecie?

Studzy. Do pralni, panie.

Pani Wud. A tobie co do tego, gdzie oni niosą. Tego jeszcze brakło, żebyś się mieszał do brudów.

Wud. Ha! gdyby tak mogli wszystkie brud wynieść z mego domu! Ależ skąd wziąć mydła, co by go wyprało? jakieżby balji potrzeba! bo to brud rzadkiego kalibru; zaraz się to pokaże.

Studzy wychodzą z koszem.

Ewans. Co za prut?

Kajus. *Quel brute?*

Wud. Moi panowie, miałem tej nocy sen; zaraz go wam opowiem. Oto klucze, oto klucze; idźcie, przetrząsnijcie wszystkie pokoje, szukajcie, śledźcie, tropcie; ręczę wam, że lisa wyparujemy z nory. — Ja mu tędy drogę zastąpię. Idźmy, panowie. Wychodzi.

Paź. Mości Wud, za bardzo sam na siebie godzisz Ewans. To jest bardzo fantastyk humor i zazdroszcz.

Kajus. Na Boka! to nie żest sfiszai we Fransia; on nie żest zazdrośni we Fransia.

Paź. Pójdźmy jednak, panowie; zobaczmy, jaki się okaże wypadek jego poszukiwań.

Wychodzą: Ewans, Paź i Kajus.

Pani Paź. Nie jestże to podwójnie pocieszny żart?

Pani Wud. Sama nie wiem, co mnie więcej bawi, czy położenie mego męża, czy sir Dżona.

Pani Paź. Co się z nim dzieć musiało, jak się twój maż zaptał, co jest w koszu?

Pani Wud. Boję się, czy tylko naprawdę nie będzie potrzebował prania; w takim razie wrzucenie go do wody stanie się dlań dobrodziejstwem.

Pani Paź. Niech się tam co chce dzieje z tym plugawym adonisem! Radabym, żeby wszyscy jemu podobni w podobną biedę popadli.

Pani Wud. Jdnakże mój maż musiał mieć szczególniejszego jakiegoś rodzaju poszlaki o bytności tu Falstafa, bom go nigdy jeszcze nie widziała tak grubiańsko zazdrośnym.

Pani Paź. Pomyślmy, jakby dojść tego. Trzeba nam Falstafowi jeszcze jakiego figla wypłatać; bo lekarstwo, które teraz dostał, nie uśmierzy w nim jeszcze gorączki rozpusty.

Pani Wud. Mamyż do niego posłać tę głupią babę Kwikli, z przeproszeniem za to, że został w wodę wrzucony i zrobić mu nową jaką nadzieję, żeby go jeszcze raz ukarać?

Pani Paź. Zróbmy tak; obstalujmy go na jutro na ósmą z rana, niby dla wynagrodzenia mu dzisiejszej niepomysłowości.

Wracają: Wud, Paź, Kajus i sir Hugo Ewans.

Wud. Nie mogę go znaleźć: może się łotr chełpił z tego, czego nie mógł dostąpić.

Pani Paź cicho do pani Wud. Czy słyszysz?

Pani Wud podobnie do niej. Słyszę, ale cicho. Pięknie się ze mną obchodzisz, panie mężu, ani słowa.

Wud. Tak, tak, ani słowa!

Pani Wud. Oby cię nieba zrobiły lepszym niż twoje myśli!

Wud. Amen.

Paź. W istocie, krzywdzisz się sam bardzo mości Wud.

Wud. Dobrze, dobrze; muszę znieść te zarzuty.

Ewans. Jerzeli tam jezd jaki czielesny sforzeń f tom, f pokoje, f szafy i komoty, to niech mi Pan Puk piespaczmy moje krzechy w dzień sądu.

Kajus. I mni także; *Par Dieu!* nima tam nis sielęsego.

Paź. Nie wstydzisz się, mości Wud? Jakiż zły duch, jakiż bies wpakował ci w głowę to przywidzenie? Nie chciałbym miewać takich napadów za wszystkie skarby Windsorskiego zamku.

Wud. Zawiniłem, mości Paziu, i pokutuję za to.

Ewans. Pokutuję, za zle sumienie. Dżon fasz jezd taki potrczify kopita, jak ino sopie rżyczycz morzna między pięcz tysiącz i pięczet menszatek.

Kajus. *Par Dieu!* To barso zasni niewiast.

Wud. Dobrze, dobrze, moi panowie. — Zaprosilem was na obiad, pójdźcie zemną do zwierzyńca. Przebaczenie mi, proszę, powiem wam potem, dlaczegom sobie tak postąpił. Przebac mi, żono; przebac mi, sąsiadko; serdecznie was proszę, przebaczenie mi.

Paź. Idźmy, panowie, nie darujemy mu tego; najemy się i naśmiejemy jego kosztem. Jutro z rana przyjdźcie do mnie w tym samym komplecie na śniadanie. Pójdziemy potem polować na ptaki. Mam doskonałości sokoła. Zgoda na to?

Wud. Prawie tak.

Ewans. Jerzeli tam jezd rżywy tuch, to ja chszę pyć trugi z nim tam.

Kajus. A za tszesi do kompania.

Wud. Pójdźcie panowie, bardzo proszę.

Ewans. Proszęż panofie pamiętacz jutro na ten firutny łoter, mój kospodarż.

Kajus. Barso kętnie; ża nie zapomni.

Ewans. To firutny łoter, s stemi kpinki i drfinki.

Wychodzą.

SCENA CZWARTA.

Pokój w domu Paziu.

Wchodzą Fenton i Anna.

Fenton. Widzę, że ojca twego życzliwości Nie zdołam zyskać, kochana Anusiu. Już mnie do niego nie odsyłaj.

Anna. Przebóg!

Cóż więc mam czynić?

Fenton. Polegać na sobie.

On mówi, żem za wysokiego rodu, Że zrujnowane rozrzutnością mienie Chciałbym zasilić jego dostatkami; Dawne usterki moje mi zarzuca,

Zle towarzystwa, w pośród których żyłem,
I utrzymuje, że to niepodobna,
Abym nad posag wyżej cenil ciebie.

Anna. Może też on ma słuszność.

Fenton. Nie, na Boga,
W którego rękę cała moja przyszłość!
Wyznaję wprawdzie, że z razu majątek
Twojego ojca był jedynym bodźcem,
Który mnie skłonił starać się o ciebie;
Ale starając się o ciebie, luba,
Znalazłem wartość twoją szacowniejszą
Od bitych monet i naphanych worów.
I serca twojego skarb jest dziś wyłącznym
Celem mych dążeń.

Anna. O, panie Fentonie!
Staraj się, staraj przedewszystkiem innym
O względy mego ojca, a jeżeli
Czas i usilne prośby nie pomogą,
Wtedy — posłuchaj —

Rozmawiają z sobą po cichu.

Wchodzą Szallow, Slender i pani Kwikli.

Szallow. Przerwijno ich szepty, mościa Kwikli; mój
siostrzan sam za siebie mówić będzie.

Slender. Wypuszczę na nią strzałę wymowy; zacze-
kajcie jeno.

Szallow. Tylko się nie mieszaj.

Slender. Ho, ho! ona mię nie zmiesza; tego się nie
boję — tylko że się jakoś zalakłem.

Kwikli. Anusiu, pan Slender radby z tobą parę słów
pomówić.

Anna. Słucham go. — To jest wybór mego ojca.

Na stronie.

Jak silnie działa dochód trzystu funtów
Na najnędrniejsze nawet kreatury!

Pani Kwikli. Za pozwoleniem, jasny panie Fenton,
mam waszej wielmożności coś powiedzieć.

Szallow. Zbliża się ku tobie. Dalejże teraz ostro do
niej. O, chłopcze, ty miałeś ojca —

Slender. Ja miałem ojca, panno Anno — mój wujaszek
może pannie o nim piękne rzeczy powiedzieć. Proszę
cię, wujaszku, opowiedzno pannie Annie ten figiel
mego ojca z kradzionemi gęśmi.

Szallow. Panno Anno, mój siostrzan kocha ciebie.

Slender. Nie inaczej, panno Anno; kocham ciebie
tak jak którąś kobietę w hrabstwie Gloster.

Szallow. Stroić cię będzie jak damę.

Slender. Nie inaczej panno Anno; będziesz miała
krótki albo długi ogon, jak ci się podoba.

Szallow. Zapisuje ci sto pięćdziesiąt funtów do-
zywocia.

Anna. Kochany panie Szallow, niech siostrzan pański
sam swoją sprawę popiera.

Szallow. W rzeczy samej; dziękuję waćpannie, dzie-
kuję za tę dobrą wróżbę. — Ona się wydziera ku
tobie, szczęśliwy chłopcze. Zostawiam was samych.

Odchodzi.

Anna. No i cóż, panie Slender?

Slender. No i cóż, panno Anno?

Anna. Przystąp pan do rzeczy.

Slender. Jaktó? Mam już przystąpić do rzeczy? Tam
do djaska! to trochę za prędko; nie byłem na to
przygotowany, chwała Bogu! Nie mam tak obceso-
wej temperatury, Bogu dzięki.

Anna. Chciałam przez to powiedzieć: oświadczyć pan,
czego żądasz odemnie.

Slender. Prawdę mówiąc, co do mnie, bardzo mało
żądam od waćpanny albo nic zgoła. Ojciec wać-
panny z moim wujaszkiem porobili tam jakieś układy:
jeżeli będę miał szczęście, to dobrze; jeżeli nie, ży-
czę dobrej drogi szczęśliwшему. Oni lepiej niż ja po-
trafią waćpannie powiedzieć, jak rzecz stoi. Pytaj
waćpanna ojca, który oto właśnie idzie.

Wchodzą Szallow i Paż z żoną.

Paź. No, mości Slender — Kochaj go, dziewczyno.
Co widzę? cóż to porabia mój Fenton?
Gniewasz mnie waćpan, tak mój dom nachodzą;
Jużem powiedział panu i powtarzam,
Że córka moja już rozporządzona.

Fenton. Szanowny panie Paź, bądź łagodniejszym.

Pani Paź. Panie Fentonie, porzuć myśl o Andzi.

Paź. To nie dla pana partja; niech pan indziej
Zwróci zaloty.

Fenton. Posłuchaj mnie, panie.

Paź. Nie chcę i słowa słyszeć, mości Fenton. —
Pójdź, panie sędzio, pójdź, synu Slenderze. —
Znając niezmiennie me^e postanowienie,
Uchybiasz mi pan bywając w mym domu.

Wychodzi z Szalłowem i Slenderem.

Pani Kwikli. Niechno pan z matką pomówi.

Fenton. O, pani,

Silny tak czystem, rzetelnem uczuciem,
Jakie w mem sercu żywię dla jej córki,
Zmuszony jestem wbrew wszelkim przeszkodom,
Wbrew wszelkim tamom i wszelkim zakazom,
Podnieść poczciwy sztandar mej miłości
I iść z nim naprzód: bądź z mną, o pani.

Anna. O, matko, nie łącz mnie z tamtym półgłówkiem.

Pani Paź. Nie bój się, znajduję ci lepszego męża.

Pani Kwikli. A tym jest mój pan, doktor.

Anna. O, dla Boga!

Wolałabym być wyrzuconą w dół rzepny
I zakopaną żywcem.

Pani Paź. Bądź spokojną.

Panie Fentonie, nie myślę być twoją

Nieprzyjaciółką ani przyjaciółką.

Zbadam dokładnie serce mojej córki,

I do jej uczuć zastosuję moje.

Nim to nastąpi, bądź zdrow! — Muszę iść z nią,

Boby się ojciec gniewał. *Wychodzi z Anną.*

Fenton. Żegnaj cię, pani, żegnaj cię, Anusiu!

Pani Kwikli. To moja robota. — Gadałam jej i gadałam: cóż to, czy chcesz zmarnować córkę wydając ją za osła albo bazgracza recept? Popatrzno na pana Fentona — to moja robota.

Fenton. Dziękuję za nią waćpani. A teraz

Proszę cię, oddaj dziś w wieczór ten pierścień
Mojej Anusi. — To za twoje trudy. Wychodzi.

Pani Kwikli. Niechże cię nieba ukoronują! Co to za pocziwe serce! Każda z nas w ogieńby i w wodę skoczyła za takim sercem. Wolałabym jednak, żeby mój pan dostał Annę; albo żeby ją dostał pan Slender; albo na honor, wolałabym żeby ją dostał pan Fenton. Zrobię, co tylko będę mogła dla wszystkich trzech, bom każdemu z nich przyrzekła, a nie chciałabym być gorszą niż moje słowo: ale specyficznie usłużyć chcę panu Fentowi. To już rzecz zdecydowana; a teraz muszę biedz do sir Dżon Falstafa ze zleceniem od moich dwóch mandatorek. Co za niedzara ze mnie, żeby się tak spóźnić! *Wychodzi.*

SCENA PIĄTA.

Izba w gospodzie pod Podwiązką.

Wchodzi Falstaf i Bardolf.

Falstaf. Bardolfie, tu! —

Bardolf. Jestem, panie.

Falstaf. Idź, przynieś mi kwartę wina z grzankami. **Bardolf** wychodzi. Na tożem żył dotąd, żeby mnie w kosz wsadzono jak szynkę i wrzucono do Tamizy? No, no, jeżeli mnie jeszcze coś podobnego spotka, pozwolę sobie mózg wyjąć, w masle usmażyć i dać go psom na kolendę. Łajdaki! wrzepili mnie w rzekę z tak zimną krwią, jak gdyby szło o utopienie tuzina ślepych szczeniąt, a po mojej budowie można przecie zmiarkować że spadając, mam pewien rodzaj

przyspieszonego biegu. Chociażby dno było tak jak piekło głębokie, musiałbym je zgruntować. Byłbym był niechybnie utonął, gdyby nie przypadkowa płytkość miejsca, gdzie mnie wytrząśli. Byłaby to śmierć ze wszystkich najokropniejsza w moich oczach, bo woda ma własność spęczniania ciała; a jakżebym ja był wyglądał, gdybym był napęczniał! byłaby się ze mnie zrobiła góra mumji.

Bardolf wraca z winem.

Bardolf. Jest tam, panie, jakaś Kwikli; chce mówić z panem.

Falstaf. Dajno, daj; pilno mi dolać trochę wina do tej rzecznej wody, którą nasiąkłem; mój brzuch tak jest zimny, jak gdybym był połknął kilka śnieguł, na kształt pigulek dla ochłodzenia nerek. — Wpuść tę kobietę.

Bardolf. Wnijdź Asani.

Wchodzi pani Kwikli.

Pani Kwikli. Za pozwoleniem; proszę mi wybaczyć: życzę waszej wielmożności dnia dobrego.

Falstaf. Zabierz te kieliszki; uwarz mi półgarcowy kufel tego wina.

Bardolf. Z jajami, panie?

Falstaf. Bez żadnych dodatków; nie cierpię w napoju kurzego nasienia. Wychodził Bardolf. Czegóż to?

Pani Kwikli. Łaskawy panie, przychodzę do waszej wielmożności ze zleceniem od pani Wud.

Falstaf. Wud? Mam już tych dwóch podostatkiem; po uszy w nich siedziałem; mam ich cały brzuch pełen.

Pani Kwikli. Niestety; biedna dusza! właśnie też ona temu winna! Głupota jej ludzi to sprawiła; skutek to fałszywej ich erekcji.

Falstaf. I mojej własnej, zem polegał na jednej głupiej baby przyrzeczeniu.

Pani Kwikli. O! panie; utyskuje ona nad tym wypadkiem i szlocha tak, że serce pękłoby z żalu waszej wielmożności na ten widok. Mąż jej wychodzi dziś rano na polowanie z sokołem, pragnęłaby przeto raz jeszcze między ósmą a dziewiątą widzieć pana u siebie. Muszę jej natychmiast zanieść pańską odpowiedź. Wynagrodzi ona waszej wielmożności hojnie doznany zawód, upewniam.

Falstaf. Dobrze, przyjdę do niej; możesz jej to waćpani powiedzieć, ale przytem zwróć jej uwagę na to, czym jest człowiek: niech zważy jego ułomność, a z tego osądzi moją zasługę.

Pani Kwikli. Oświadczę jej to.

Falstaf. Oświadc. Zatem między dziewiątą a dziesiątą?

Pani Kwikli. Między ósmą a dziewiątą, panie.

Falstaf. Dobrze. Idź z Bogiem. Nie zaniedbam się stawiać.

Pani Kwikli. Do nóg upadam waszej wielmożności!

Wychodzi.

Falstaf. Rzecz dziwna, że pan Strug nie daje słyszeć o sobie; kazał mi na siebie czekać. Pieniądze jego podobają mi się! Ha! otóż i on.

Wchodzi Wud.

Wud. Bądź pozdrowion, rycerzu.

Falstaf. No, mości Strugu, przychodzisz się zapewne dowiedzieć, co zaszło między mną a panią Wud?

Wud. W rzeczy samej, sir Dżonie, ten jest cel mego przybycia.

Falstaf. Mości Strug, nie chcę kłamać przed tobą; byłem u niej istotnie w godzinie oznaczonej.

Wud. I jakże ci się, panie, powiodło?

Falstaf. Wcale nieobrzędno, mości Strugu.

Wud. Jakto, panie? Czyliż zmieniła postanowienie?

Falstaf. Nie, mości Strugu; ale ten gnat *cornuto*, jej mąż, którego zazdrość w ciągłym utrzymuje

alarmie, zszedł nas właśnie w samym punkcie zętknięcia, kiedyśmy się zaledwie pocałowali, uścisnęli, zapewnili o wzajemnej miłości i odegrali, że tak powiem, zaledwie prolog komedji; a za nim zwała się cała zgraja jego kompanów sprowadzona przezeń i podszczuta do przetrząśnienia domu i odkrycia przedmiotu miłostek jego połowicy.

Wud. Jakto? i tyś tam jeszcze był wtedy, rycerzu?

Falstaf. Ma się rozumieć, że byłem.

Wud. I on cię szukał i nie mógł cię znaleźć?

Falstaf. Zaraz się dowiesz o wszystkim. Szczęśliwy traf sprowadza tam jakąś panią Paż, która nas o zbliżaniu się Wuda uprzedza. Za jej poradą (bo biedna Wud ze szczeniem głowę straciła), wsadzony zostaje w kosz bielizny.

Wud. W kosz od bielizny!

Falstaf. Na pana zastępów, w kosz od bielizny. Zaznaczony w nim zostaje plugawymi koszulami, gatkami, pończochami, chustami i ścierkami. O, mości Strugu, nigdy jeszcze obrzydliwszy zlewek złych odorów nie obraził węchu ludzkiego.

Wud. I jakże długo siedziałeś w nim, panie?

Falstaf. Niestety! dowiesz się, mości Strugu, com ja wycierpiał, żeby tę kobietę dla usłużenia twojej miłości skłonić do złego. Skorom w ten sposób został zapakowany do kosza, weszło na wezwanie swej pani dwóch drabów domowych i odebrało polecenie zanieść mnie na Datchet, jako brud przeznaczony do prania. Wzięli mnie na barki; wychodząc spotkali we drzwiach tego zazdrosnego cymbała Wuda, swego pana, który się ich raz czy dwa razy zapytał, co mieli w koszu. Zadrzałem z obawy, żeby ten wścickły lunatyk nie chciał czasem wsadzić w kosz nosa, ale los, który go na zrogacenie dekretował, wstrzymał go przecie od tego. Miotany zapalczywością wyniósł się do dalszych pokojów na rewizję, ja mio-

tany niespokojnością wyniesiony zostałem za drzwi do prania. To wszystko jeszcze nic, kochany panie Strugu, uważ, co następuje. Wycierpiałem męczarnię trzech różnych rodzajów śmierci: najpierw niezdolnością obawę, żeby mnie ten zazdrosny, przemierzły cap z grzechotką nie odkrył; powtóre, konieczność leżenia w ścieśnionym obrębie, zwiniętym w kablak na kształt dobrej damasceńskiej klingi, ostrzem do gardy, głową do nóg; wreszcie pozostawanie nakształt spirytusu pod szczelnym szpuntem cuchnących szmat fermentujących tłustością. Wyobraź sobie człowieka takiej jak ja kompleksji — człowieka nie lepiej jak masło mogącego znieść upań; człowieka zostającego w ciągłym stanie topnienia i tajenia — do cudów liczyć można, żem się nie udusił. I w najkrytyczniejszym punkcie tej kąpieli, kiedy już więcej niż przez pół usmażony w tłustości leżał jak wiedeńska kiełbasa, wrzuconym zostałem w Tamizę, ażeby w zimnej wodzie jak rozpalona podkowa nagle ostygnąć — wyobraź sobie, w stanie wrzenia — wyobraź sobie, mości Strugu!

Wud. W rzeczy samej, przykro mi nieskończenie, żeś pan z mojej przyczyny tyle zniósł przykrości. Muszę już tedy zwątpić o skutku mojej prośby, bo pewnie już nie zechcesz osmielić się na coś podobnego poraz drugi.

Falstaf. Dam się prędzej w Etnę wrzucić podobnie jak w Tamizę, niżbym miał tak łatwo od moich zamiarów odstąpić. Mąż jej poszedł dziś z rana na polowanie, otrzymałem od niej zaproszenie na powtórny śchadzkę, między ósmą a dziewiątą mam się stawić.

Wud. Już ósma minęła.

Falstaf. Doprawdy? Spieszę więc na termin. Przyjźdź do mnie, kiedy ci się podoba, mości Strugu, a dowiesz się sam, com wskórał. Koniec uwieńczony

zostanie tem, że ją posiadać będziesz. Bądź zdrów. Będziesz ją posiadał, mości Strugu; nie troszcz się; przyprawisz Wudowi rogi. Wychodzi.

Wud. Gwałtu! Czy to sen? Czy to złudzenie? Śpięz ja, czy marzę? Ocknij się, Wudzie; ocknij się, Wudzie! w najlepszej twojej sukni dziura. Na toż się przydało mieć żonę? na toż się przydało mieć kosze i bieliznę! — Ha! pokażę wnet, czym jestem; schwytam tego niecnego wszetecznika; on będzie w moim domu; nie może mi się wymknąć, niepodobna, aby mi się wymknął. Nie potrafi się przecie wśliznąć w skarboneę od półpensów ani w puszkę od pieprzu. Żeby jednak szatan, który go wspiera, nie mógł mu dopomódz, zarzę w najniepodobniejsze miejsca. Nie mogę wprowadzić nie być tem, czym już jestem, ale nie mogę też znieść obojętnie, że jestem tem, czym być nie chcę. Mamli mieć rogi, nie będę przynajmniej ślamazarnym rogaczem. Wychodzi.

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

Ulica.

Wehodzi Pani Paż, Pani Kwikli i Wiljam.

Pani Paż. Jak myślisz, czy jest on już u Wuda?

Pani Kwikli. Niezawodnie albo już jest albo niebawem nadejdzie. Trzeba przyznać, że po owej kąpieli w Tarnizie, da przez to dowód niepojętej odwagi. Pani Wud prosi pani, abyś przyszła natychmiast.

Pani Paż. Pośpieszę do niej; tylko wprzód muszę zaprowadzić mego malca do szkoły. Ale oto pan nauczyciel; dziś rekreacja, jak widzę.

Wehodzi sir Hugo Ewans.

Cóż to, mości Hugonie, czy dziś niema szkoły?

Ewans. Nima; imcz pan Slender poszed z chłopczami na przechaska.

Pani Kwikli. Co też to za pocziwa dusza!

Pani Paż. Mości Hugonie, mój mąż mówi, że nasz syn nic zgola z książki nie korzysta — zadaj mu, proszę, parę pytań z gramatyki.

Ewans. Pójsz tu Wiljam; drzymacz kłowa prosto, pójsz tu.

Pani Paż. Śmiało, chłopcze: podnieś głowę; odpowiadaj panu nauczycielowi, nie bój się.

Ewans. Wiljam, wiele jezd liczp w imionach?

Wiljam. Dwie.

Pani Kwikli. To dobrze; wymiona nie bywają w większej liczbie.

Ewans. Szycho wazpani! — Szo jezd *piękny*, Wiljam?

Wiljam. *Pulcher*.

Pani Kwikli. Pulchny! Przecież nie wszystko jest piękne, co pulchne.

Ewans. Okraniczony niewiast z wazpani, proszę miłczycz. — Szo jezd *lapis*, Wiljam?

Wiljam. Kamień.

Ewans. A szo jezd kamień, Wiljam?

Wiljam. Krzemień.

Ewans. No, to jezd *lapis*, prosze zachowacz to w sfej kłowa.

Wiljam. *Lapis*.

Ewans. Pardo doprze. Powidz mi teraz, Wiljam, szo to jezd, od czego pierzemy artykuły?

Wiljam. Artykuły biorą się od zaimków i przypadkują się tak: *singulariter, nominativo, hic, haec, hoc*.

Ewans. *Nominativo, hig, heg, hog*, doprze — a szo jezd *casus genitiivus*?

Wiljam. *Genitiivus, hujus*.

Ewans. *Hujus*; barso doprze; ale pofisz mi teraz Wiljam, szo jezd *casus accusatiivus*?

Wiljam. *Accusatiivus, hinc*.

Ewans. Proszę przypomnicz sobie chłopiesz. *Accusativo jezd hung, hang, hog.*

Pani Kwikli. Chun—chan—chong— to chyba po chińsku nie po łacinie.

Ewans. Przestacz szę ftykacz, kopito. — Szo jezd *casus focalivus*, Wiljam?

Wiljam. O — *vocativo* — O.

Ewans. Uwarzacz, Wiljam, *focalivo jezd caret.*

Pani Kwikli. Czy łacinnicy jeździli karetami?

Ewans. Kopito, czy chcesz się otczepicz?

Pani Paź. Przestań waćpani.

Ewans. Szo jezd *casus kenitivus pluralis*, Wiljam?

Wiljam. *Casus genitivus?*

Ewans. Tag, drugi przypadek *pluralis*.

Wiljam. Drugi przypadek *pluralis, horum.*

Pani Kwikli. Drugi przypadek plugawych chorób? O, sromoto! Uczyć dziecko takich rzeczy. Wstydz się waćpan.

Ewans. Opamiętasz się, kopito.

Pani Kwikli. To zgroza, żeby dziecku o takich rzeczach prawić. Wstydz się waćpan, to szkaradnie, to niegodnie.

Ewans. Kopito, czy wazani lunatyk? Czy nie fi, szo to rozaj i szo przypadek f liczba mnoga? Wazani taki klupi sforzeń, jak sobie ino rżyczysz morżna.

Pani Paź. Proszę cię, daj już pokój.

Ewans. Pofidz no mi jeszcze, Wiljam, szo s deklinaszji *pronominum*.

Wiljam. Nie mogę sobie przypomnieć.

Ewans. To jezd: *kiske, kake, kotke*; pamiętacz chłopiesz; a jak jeszcze raz zapomni o tych *kiskach, kakah i kotkach*, to dostaniesz pasy. Idź teras z Pogiem, pawicz sze.

Pani Paź. Więcej on wie jednak, jak się spodziewałam.

Ewans. On jezd dopry lokalny pamięcz. Szeknam wazpani, miss Paź.

Pani Paź. Bądź zdrów, zacny sir Hugonie.

Wychodzi Ewans.

Idź do domu, chłopcze. — Pójdź, za długó zwlekamy.

Wychodzą.

SCENA DRUGA.

Pokój w domu Wuda.

Wchodzą Falstaf i pani Wud.

Falstaf. Pani, żałość twoja zatarła moje cierpienia. Widzę, że jesteś sumienną w rzeczach miłości i zapewniam cię, że na włos wzajemności nie uchybię, nietylko w zwyczajnych miłości obowiązkach, ale i we wszystkich dodatkach do niej, uzupełnieniach jej i ceremonjach. Czyś tylko teraz zupełnie zabezpieczona od napaści męża?

Pani Wud. On jest na polowaniu, luby sir Dżonie.

Pani Paź za drzwi. Otwórz, miss Wud, otwórz!

Pani Wud. Przejdź do tamtego pokoju, sir Dżonie.

Wychodzi Falstaf.

Wchodzi pani Paź.

Pani Paź. Mów prędko, czy jest tu kto więcej prócz ciebie?

Pani Wud. Nikt prócz moich ludzi.

Pani Paź. Czy pewno?

Pani Wud. Ależ niewątpliwie; na stronie do niej mów głośniej.

Pani Paź. To mnie bardzo cieszy, że tu nie masz nikogo.

Pani Wud. Dlaczego?

Pani Paź. Męża twojego znowu napadły raptusy. Sceny tam z moim wyprawia; piorunuje na cały ród żonatych, przeklina wszystkie córy Ewy, tak blondynki jak brunetki, bije się pięściami w czoło i wrzeszcze: »już wyrasta, już wyrasta!« Wszelkie szaleństwa, które dotąd widziałam, wydają się uprzejmością,

słodyczą i umiarkowaniem w porównaniu z jego wściekłością. Jak dobrze, że tu niema tego tłustego rycerza.

Pani Wud. Jakto? czy on co o nim mówi?

Pani Paź. O nikim, tylko o nim; zapewnia, że kiedy go ostatnim razem szukał, wyniesiono go w koszu; przysięga memu mężowi, że on tu znowu jest, i ciągnie go tu z polowania z resztą kompanji dla powtórnego sprawdzenia swych podejrzeń. Ale kiedy tu niema tego rycerza, to przedziwnie; niedorzeczność jego okaże się jak dzień jasną.

Pani Wud. Dalekoż on jeszcze od domu?

Pani Paź. Tuż na rogu ulicy; za chwilę tu będzie.

Pani Wud. Zgubiona jestem! — ów rycerz jest tu.

Pani Paź. Biada ci więc, w najohydniejszy sposób będziesz zelżoną, a ten twój rycerz żywcem nie ujdzie. Jakaż z ciebie kobieta! Precz z nim, precz z nim! lepszy wstyd niż śmierć.

Pani Wud. Którędyż ma wyjść? jakże go stąd wycofam? Mamże znowu go w kosz wsadzić?

Falstaf występując. Nie, nie chcę kosza; wszędzie byle nie w kosz. Nie mógłbym wyjść drzwiami, nim na-
dejdzie?

Pani Paź. Niestety, dwóch jego braci stoi z pistoletami przed sienią, tak, że żywa dusza nie przejdzie; gdyby nie to, ucieczka byłaby jeszcze możliwą. Ale co tu robisz, rycerzu?

Falstaf. Cóż mam czynić? Wleżę chyba w komin.

Pani Wud. Tam oni zwykli po polowaniu wystrzeliwać fuzje: wsuń się pan lepiej w dziurę od pieca.

Falstaf. Gdzież ona jest?

Pani Wud. Na co to się zdało? On i tam szukać będzie. Niema w całym domu skrzynki, pudełka, szuflady, wydrążenia ani otworu, któregooby w takim razie z koleji nie rewidował. Wedle spisane go w głowie inwentarza: wewnątrz domu niema dla pana ochrony.

Falstaf. To wyjdę.

Pani Paź. Jeżeli w własnej wyjdiesz postaci, padniesz trupem, sir Dżonie. Musisz wyjść przebrany.

Pani Wud. Jakże go przebrać?

Pani Paź. Niestety, tego sama nie wiem. W żadnej kobiecej sukni nie zmieści się. Gdyby nie to, mógłby wsadzić kapelusz, kwef, brodę chustką obwiązać, i tak wymknąć się niepoznanym.

Falstaf. Kochaneczki, aniolki moje, wymyście jaki sposób, największa ostateczność raczej, niż nie-
szczęście.

Pani Wud. Ciotka mojej dziewczki, tłusta wieśniaczka z Brentford, ma tam na górze suknię.

Pani Paź. Zapewne, ta się zda na niego, równej są tuszy, a przytem jest tam jeszcze jej czupidrał i chustka; biegnij na górę, sir Dżonie.

Pani Wud. Śpiesz się, śpiesz, kochany sir Dżonie, ja z panią Paź wynajdziemy jeszcze coś do okrycia ci głowy.

Pani Paź. Żywo, żywo, rycerzu, przyjdziemy tam zaraz ubrać cię, wdziej tymczasem suknię.

Wychodzi Falstaf.

Pani Wud. Radabym, żeby go mój mąż spotkał w tem przebraniu; nie cierpi owej baby z Brentford, przysięga, że to czarownica; zakazał jej bywać w swoim domu i przyrzekł ją jeszcze wychłostać, jak się jeszcze raz okaże.

Pani Paź. Niech go niebo pod chłostę twego męża przyprowadzi, a dalszej niech dokona piekła!

Pani Wud. Czy tylko mój mąż istotnie tu idzie?

Pani Paź. Niezawodnie; a przytem mówi coś o koszu. Skąd on się o tem mógł dowiedzieć?

Pani Wud. Dojdziemy tego, każę moim ludziom przynieść ten sam kosz i spotkać z nim mego męża u wnijsia, tak samo jak pierwej.

Pani Paź. Ale on tu będzie lada moment. Pójdźmy czempredzej przystroić naszego rycerza na czarownicę z Brentfort.

Pani Wud. Muszę wprzód powiedzieć moim ludziom, jak sobie mają z kolei postąpić. Idź na górę; zaraz tam przyniosę co z bielizny. Wychodzi.

Pani Paź. Bierz lichu tego sprosnego bęcwała! Największa kara na takich za mała. Niech się świat dowie z tej naszej pustoty, że żarty, figle nie rugują cnoty. Ta, co się śmieje, nie zawsze złą bywa; Cicha to woda, mówią, brzegi zrywa.

Wychodzi.

Pani Wud wraca z dwoma służącymi niosącymi kosz.

Pani Wud. Chodźcie tu, chodźcie; weźcieno jeszcze raz ten kosz na plecy. We drzewiach spotkacie się z panem; jeżeli go wam każe postawić, bądźcie mu posłuszni. Dalej, żywo! Odechodzi.

Pierwszy sługa. Nuże, windujemy go.

Drugi sługa. Dałyby nieba, żeby w nim znowu jaki rycerz nie siedział!

Pierwszy sługa. Niech Pan Bóg broni! wolałbym nieść transport ołowiu.

Wchodzi: Wud, Paź, Szallow i Hugo Ewans.

Wud. Gadaj zdrow, sąsiedzie, a jeżeli się to pokaże prawdą, znajdziesz wtedy sposób rehabilitowania mojej głowy? — Stójcie gałgany! Zrzućcie mi ten kosz zaraz, i niech tu który przywoła moją żonę! A tuś, rybo; nie wysłizniesz mi się po raz drugi. — O, niecnoty! To spisek, zмова, konspiracja przeciwko mnie; ale ja szatana zawstydzę. — Hej, żono, kochana żono, pójdźno tu, przybywaj, zobaczno jakie to piękne brudy posyłasz do prania.

Paź. Nie, tego już za wiele, mości Wud, nie powinienbyś dłużej na wolności zostawać, należałoby cię wziąć w dyby.

Ewans. Jes; to jezd lunatismus, to jezd taki szcękloszcz; jak szcękły pes.

Szallow. W rzeczy samej, mości Wud, to nie pięknie; w rzeczy samej.

Wchodzi pani Wud.

Wud. I ja tak mówię. — Pójdźno tu miss Wud, miss Wud, ty przykładna niewiasto, ty wierna żono, ty cnotliwa istoto, która masz zazdrosnego osła męża! Posądzam cię bezzasadnie, mościa pani, nieprawdaż?

Pani Wud. Bóg świadkiem, że tak jest, jeżeli mnie o jakąbądź niecnotę posądzasz.

Wud. Dobrze mówisz, miedziane czoło! zaraz się o tem przekonamy. — Allons, marsz, gagatku!

Wyrzuca brudy z kosza.

Paź. To już przechodzi wszelką miarę.

Pani Wud. Czy się nie wstydzisz? Dajże już pokój tym rupieciom.

Wud. Zaraz ja ciebie znajdę.

Ewans. To jezd opłakanie! Czy chszesz wazpan potnieszcz suknie swoi żony!

Wud. Wysypcie mi zaraz wszystko z kosza. Słyszycie?

Pani Wud. Ależ mężu, mężu —

Wud. Mości Paziu, słowo uczciwego człowieka, że wczoraj był ktoś stąd wyniesiony w tym koszu; dlaczegożby nie miał w nim być i dzisiaj. Że on jest teraz w moim domu, tego jestem pewny; poszlaki moje niewątpliwe, zazdrość ugruntowana. Wyrzućcie mi zaraz wszystkie brudy.

Pani Wud. Jeżeli znajdziesz tam kogo, wolno ci będzie zgnieść go jak pchłę.

Paź. Niema nikogo.

Szallow. Na sumienie, to nie pięknie, panie Wud, to ci zakał przynosi.

Ewans. Moczy Fut, trzepa wazpan motlicz szę i nie iszcz fetle przyfideń faszego serdza, to jezd przytka zetrz zazdroszcz.

Wud. Widzę już, że w koszu niema tego, kogo szukam.

Paź. Ale nigdzie indziej, tylko w głowie waćpana.

Wud. Pomóżcie mi, panowie, jeszcze raz dom przetrząsnąć; tylko ten raz jeszcze: jeżeli nie znajdzie tego, kogo szukam, nie miejcie nademną litości, obróćcie mnie w wieczny przedmiot przekąsów; niech ludzie na pamiątkę mojej głupoty mówią: tak zazdrośny jak Wud, który w dziurawym orzechu szukał gacha swojej żony. Tylko ten raz jeszcze bądźcie mi powolni, tylko ten jeden raz jeszcze odbańdźcie ze mną rewizję.

Pani Wud. Miss Paź, miss Paź! znijdźno tu z tą staruszką; mój mąż chce tam iść na górę.

Wud. Ze staruszką! Co to za staruszka?

Pani Wud. To ta wieśniaczka z Brentford, ciotka naszej dziewczki.

Wud. Ta wiedźma, ta łajdaczka, ta stara czarownica? Czyliżem jej mojego domu nie zamknął? Przyszła tu pewnie wróżyć? nieprawdaż? O, my prostoduszne głowy! nie wiemy, co się to praktykuje pod płaszczykiem wróżenia. Ta kobieta oddaje się czarom, urokom, kabałom i innym podobnym filuterjom; wszystko to jest za granicą naszej wiedzy; jesteście przy tem jak w rogu. — Znijdź mi zaraz, ty czarownico, ty cyganko. Znijdź mi zaraz, powiadam.

Pani Wud. Kochany, drogi mężu! O, panowie, nie dajcie mu jej skrzywdzić.

Wchodzi Falstaff przebrany za kobietę i prowadzony przez panią Paź.

Pani Paź. Pójdź, matko Psat, pójdź, podaj mi rękę.

Wud. Dam ja jej rękę! — precz mi stąd, czarownico, okłada go kijem flądno, ropucho, kokzkodanie! Precz! precz! Nauczę ja cię wróżyć i okładać kabały.

Wychodzi Falstaff.

Paź. Nie wstydzisz się waćpan? Zdaje mi się żeś tej biednej kobiecie kości naruszył.

Pani Wud. Cóż to u niego? — Na piękne sobie zarabiasz imię.

Wud. Bierz djabli czarownicę!

Ewans. Dalipug, ja myślę, że ta kopita jezd doprafty czarownik. Ja nie łupi kiety kopita ma tusza proda, a ja fiszał tusza proda pot jej czypek.

Wud. No i jakże? dajecie się skłonić, panowie? błagam was; zobaczycie wnet w całym blasku rezultat mojej zazdrości. Jeżeli tym razem na faizywy was trop wprowadzam, wolno wam będzie mi nie wierzyć, ilekroć razy naszczekiwać będę.

Paź. Bądźmy ten raz jeszcze powolni jego fantazji: pójdźcie, panowie.

Wychodzą Paź, Wud, Szallow i Ewans.

Pani Paź. Na pocziwość! po chrześcijańsku go wygrzmocił.

Pani Wud. Po pogańsku chyba, chciałaś powiedzieć.

Pani Paź. Kij do tego użyty wartoby kazać ozłocić i nad oltarzem zawiesić, niepospolitą położył zasługę.

Pani Wud. Jak myślisz, czy moglibyśmy bez uszczerbku naszej dobrej sławy i sumienia ściagać go jeszcze naszą zemstą?

Pani Paź. Zły duch poządliwości musi być już zupełnie z niego wygnany. Jeżeli go szatan nie ma z kretesem w swojej mocy, nie spodziewam się, żeby się jeszcze pokusił opowiadać przy nas szczęścia.

Pani Wud. Mamyż opowiedzieć naszym mężom, jakieśmy mu się przysłużyły?

Pani Paź. Uczynmy to natychmiast, chociażby tylko dlatego, żeby wybić klin z głowy twego męża. Jeżeli nasi panowie będą mieli serce pastwić się jeszcze nad tym biednym niepoćziwym rycerzem, wesprzemy ich w tem przedsięwzięciu.

Pani Wud. Założę się, że oni zechcą publicznie go zawstydzić i zdaje mi się, że ukaranie go byłoby niezupełnem, gdyby nie był zawstydzony publicznie.

Pani Paź. Idźmyż natychmiast do kuźni, póki żelazo gorące.

Wychodzą.

SCENA TRZECIA.

Izba w gospodzie pod Podwiązką.

Wchodzą Oberżysta i Bardolf.

Bardolf. Panie, te Niemcy żądają trzech koni; ich książe ma jutro przybyć do dworu; chcą więc wyjechać na jego spotkanie.

Oberżysta. Ciekawy jestem, co to może być za książe, co tak tajemniczo przyjeżdża. Nic o nim nie słyszałem u dworu. Muszę się sam z tymi ludźmi rozmówić; czy oni mówią po angielsku?

Bardolf. Mówią, panie, zaraz ich przywołam.

Oberżysta. Dostaną koni, ale muszą za nie słono zapłacić; nasmaruję im porządnie. Przez cały tydzień mieli mój dom na rozkazy; odprawiałem dla nich innych gości; będą teraz mieli za swoje.

Wychodzą.

SCENA CZWARTA.

Pokój w domu Wuda.

Paź, pani Paź, Wud, pani Wud i sir Hugo Ewans.

Ewans. To jeżdż taki fielki cnota kopita, jaki ja jeszcze nigdy nie fidał.

Paź. I on wam jednocześnie przysłał te dwa listy?

Pani Paź. W przebiegu kwadransa.

Wud. Przebacz mi, żono: czyń odtąd, co zechcesz.

Prędej oskarżę o oziębłość słońce,

Niż ciebie o brak wierności małżeńskiej.

Pocziwość twoja w przekonaniu tego,

Co przed niedawną chwilą był kacierzem

I bezbożnikiem, stoi jako wiara,

Na niewzruszonej opoce.

Paź. To pięknie,

To bardzo pięknie, ale dosyć tego.

Nie bądź w submisji równie przesadzonym

Jak w porywczosci. Teraz przedewszystkiem

Pomyśly, jakby plan nasz skutecznic:

Niechaj kobiety nasze dla jawnego

Zażartowania raz jeszcze zaproszą

Tego starego, tłustego galanta

Gdzieś, gdzie będziemy mogli go przycapić

I skarcic, tak jak zasłużył.

Wud. Ich projekt

Jest, zdaniem mojem, przewyborny.

Paź. Jakto?

Dać mu »rendez-vous« w parku o północy?

Myslicie, że on wam przyjdzie?

Ewans. Muficie, że on pył frzucony f rzeka i nielitoszczywie spity jako stara papa; ja myslę, że opawa pędzie f nim i on nie przydrze; ja myslę, że jego mięś jezd ukaran i pospyt porzątlivoszczy.

Paź. Tak samo i ja myslę.

Pani Wud. Myslicie no, co z nim zrobicie, jak przyjdzie.

A nam zostawcie, jak go tam sprowadzić.

Pani Paź. Oddawna krąży wieść, że strzelec Herne

Niegdyś leśniczy Windsorskiego lasu,

Co zima, kiedy pierwsze pieją kury,

Z rozsochatymi rogami na głowie

Kolo jednego dębu się przechadza;

Podpala jego pień, rzeka byldo,

Zamienia mleko w krew i łańcuchami

W przerażający sposób brzek wydaje.

Wszyscyście o tem słyszeli i wiecie,

Że zabobonni, dobroduszni nasi

Przodkowie powieść tę mieli za prawdę,

I jako taką dzieciom przekazali.

Paź. Tak, i są nawet tacy, co się boją

Zbliżyć się w nocy do Hernego dębu.

Ale do czegoż to prowadzi?

Pani Paź. Zaraz;

Uważcie dobrze; u owego dębu
Trzeba, ażeby Falstaff zszedł się z nami.
W rogach jelenich niby strzelec Herne.

Paź. Dobrze więc, dajmy na to, że on przyjdzie
W takiej postaci; dopiąwszy już tego,
Cóż z nim zrobicie? jakież cel tej schadzki?

Pani Paź. Jużesmy nad tem także pomyślały,
I taki jest nasz plan: Mój mały Wilhelm,
I moja Anka z trojgiem albo czworgiem
Równego wzrostu, zostaną przebrani
Za elfów, sylfów, gnomów, na wpół biało,
Na wpół zielono, mieć będą na głowach
Stoczki, nibyto wieńce płomieniste,
A w rękę małe grzechotki. Zaledwie
My dwie z Falstaffem zjeździemy się u dębu,
Cały ten orszak z przeraźliwym śpiewem
Wyskoczy nagle z pobliskiego rowu,
A gdy my na ten widok zdjęte twogą,
Uciekniam, oni go wtedy otoczą,
I szczypiąc na kształt djablików ze wszech stron,
Pytać go będą, jak śmie w takim stroju,
O tej godzinie duchów uroczystej,
Święte tajniki elfów profanować.

Pani Wud. I niech go póty szczypią, póty dręczą,
Póty świeczkami woskowemi parzą,
Póki nie wyzna prawdy.

Pani Paź. Wtedy wszyscy

Wydziem z ukrycia, zdejniemy mu rogi,
I do Windsoru pognamy go, szydząc.

Wud. Byleby tylko dzieci nie skrewiły,
I całej farsy nie popsuly.

Ewans. Ja ich nautrzycz pędę ich ról, i sam skakacz
pędę jak harlekin; i zapiekacz temu rycerz s moim
toczkiem.

Wud. Wybornie; idę zaraz kupić maski.

Pani Paź. Moja Anusia będzie miała rolę
Królowej elfów i sukienkę białą.

Paź. Kupię jej na nią atlasu.

Na stronę.

W tej sukni

Uprowadzi ją Slender potajemnie
I ślub z nią weźmie w Eton. — Posyłajcież,
Nie tracąc czasu, do Falstafa.

Wud. Pójdę raz jeszcze do niego pod dawny
Przezwiem Struga, on mi powie wszystko,
Co myśli, i mam nadzieję, że przyjdzie.

Pani Paź. O to obawy niema; idźcie tylko
Kupić potrzebne godła i przybory
Dla waszych elfów.

Ewans. Idźmy zropicz przygotowanie, to jezd prze-
fyporny fikiel i niefinne opszukaństwo.

Wychodzą: Paź, Wud i Ewans.

Pani Paź. Poszlij czempredzej Kwikli do sir Dżona,
Abyśmy mogły wcześniej się zapewnić,
Czy przyjdzie.

Pani Wud odchodzi.

A ja pójdę do doktora.

Dałam mu słowo i on tylko jeden
Posiędzie moją Ankę. Wprawdzie Slender
Ma kawał ziemi, ale to półgówek,
I tego mąż mój nad innych przekłada.
Pieniądze ma i doktor, i przyjaciół
Możnych u dworu i liczne stosunki.
Niech się więc o nią nikt inny nie kusie;
To mój zięć, to mąż dla mojej Anusi.

Wychodzi.

SCENA PIĄTA.

Izba w gospodzie pod Podwiązką.

Wchodzi Oberzysta i Sympel.

Oberzysta. Czego tu chcesz, chłopie, po coś tu przyszedł.

głębiej? mów, gadaj, otwórz gębę; krótko, prędko, żywo.

Sympel. Dobrze, panie; przychodzę tu od pana Slendera, mojego pana, dla pomówienia z sir Dżon Falstafem.

Oberżysta. Tu jego izba, jego dom, jego zamek, jego tapczan i wojenne łoże, dokoła wymalowana historia marnotrawnego syna świeżą tyntą. Idź tam na górę, zapukaj i zawołaj, a usłyszysz jego antropofagjani-
styczną odpowiedź. Czemu nie idziesz?

Sympel. Weszła tam do niego jedna stara, tłusta białogłowa, poważę się tu zaczekać, aż wyjdzie: prawdę mówiąc, z niąbym chciał pomówić.

Oberżysta. Tłusta białogłowa, mówisz? Ona go okraść gotowa; muszę go wywołać. — Hola, birbancie, mężny mój birbancie! wydaj głos z militarnych czeluści płuc swoich! Czy ciebie tam niema? To ja, twój gospodarz, twój Filemon.

Falstaf z góry. Czego żądasz, mój Filemonie?

Oberżysta. Jest tu jakiś tatarski cygan, który czeka na wychód tej tłustej białogłowy, co jest u ciebie; każ jej się spuścić, birbancie, każ jej się spuścić; moje pokoje nieskażone: fuj! z tajemnicami! fuj!

Falstaf schodzi.

Falstaf. W rzeczy samej, mój gospodarzu, miałem u siebie starą, tłustą białogłową, ale ta już odeszła?

Sympel. Za pozwoleniem pańskim, nie byłaż to ta mądra kobieta z Brentford?

Falstaf. Ta sama, niedołego. Czegoż ty chcesz od niej?

Sympel. Mój pan, panie, pan Slender, przysłał mnie tu za nią (bo ją widział, jak przechodziła przez ulicę), żeby się od niej dowiedzieć, czy niejaki Nym, panie, który mu skradł łańcuch, wziął ten łańcuch lub nie.

Falstaf. Mówilem o tem z tą kobietą.

Sympel. I cóż ona mówi, proszę pana?

Falstaf. Mówi, że ten sam człowiek, który panu Slenderowi skradł łańcuch, przyprawił go o postradanie łańcucha.

Sympel. Szkoda, że się nie mogę sam widzieć z tą kobietą: mam polecenie wypytać się jej o coś więcej.

Falstaf. O cóż to? radziłyśmy wiedzieć.

Oberżysta. Tak, tak, gadaj prędzej.

Sympel. Nie mogę tego, panie, roztrąbiać.

Falstaf. Trąb, albo zginiesz.

Sympel. O, panie, o nic innego nie szło, tylko o pannę Annę Paż: mój pan chciał się dowiedzieć, czy będzie miał szczęście dostać ją lub nie.

Falstaf. Będzie, będzie miał szczęście.

Sympel. Jakie, panie?

Falstaf. Dostać ją lub nie. Idź, powiedz, że mnie o tem zapewniła ta kobieta.

Sympel. Dobrze, panie; ale czy tylko mogę być tak śmiały powiedzieć to mojemu panu?

Falstaf. Najśmielszy w świecie, gapiu?

Sympel. Dziękuję waszej wielmożności: wiadomość ta ucieszy mego pana. Wychodzi.

Oberżysta. Uczony z ciebie człowiek, sir Dżonie; kapitałnie uczony. Czy istotnie była u ciebie jaka mądra kobieta?

Falstaf. Była, mój gospodarzu i nauczyła mnie rozumu więcej, niżelam się przez całe życie nauczył; do tego nic za naukę nie zapłaciłem, owszem mnie za nią zapłacono.

Wchodzi Bardolf.

Bardolf. Gwałtu, panie! wpadliśmy w zasadzkę oszustów, podłych oszustów.

Oberżysta. Gdzie moje konie? Na Boga! nie mów nic złego o nich *varletto!*

Bardolf. Niestety, panie, jesteśmy ofiarami oszustów! Zaledwie Eton minąłem, jeden z nich porwał mnie za kark z tyłu i zrzucił w kałużę; dopieroż dawszy

ostrog, dalej w galop i pognali jak trójka djabłów niemieckich, jak trójka doktorów Faustów.

Oberzysta. Głupcze, oni wyjechali na spotkanie księcia, nie mów, że uciekli. Niemcy uczciwy naród.

Wechodzi sir Hugo Ewans.

Ewans. Kdże mój kospodarz?

Oberzysta. Cóż mi obwieszczasz, sir Hugonie?

Ewans. Miej paczenie na sfojego mienia! Przypyl fłaśnio do miasta jeten mój przyjaczeł, który mof, że tu jezd trzy jakiesz psuprat Niemczy, którzy srapofali wszystkie operzysty w Reading, Maidenhead i Colebrook s konie i s pieniądze. Mufię szi to przes rzyczlifoszcz. Masz wazpan rosum, dofszczyp i tuszą tozę przepiekłoszczy; to pyłoby nieprzysfoitoszcz, rzepy mu fyłatano fikła. Niech wazpanu Pug strzesze.

Odechodzi.

Wechodzi doktor Kajus.

Kajus. Ksie moi *hote de la jarretierre?*

Oberzysta. Tu, mój doktorze; widzisz go przerażonym i pogrążonym w dilemie niepewności.

Kajus. Nie wiem so to żest, ale mi powiesziano, że tu się robi wielka preparasja dla żeden książ, *de Germanie*; niema tu żaden książ, o którym bi dwór wiesiał, że pszijesie. Mówię to żegomosi pszes ziszliwoś. *Adieu.*

Odechodzi.

Oberzysta. Nieszczęsny! krzycz, wrzeszcz: gwałtu! Ratuj mnie rycerzu, zgubiony jestem — biegnij nieszczęsny, krzycz, wrzeszcz, wyj! Zgubiony jestem!

Wychodzi z Bardolffem.

Falstaf. Radbym, żeby cały świat był oszukany, kiedy mnie oszukano, a w dodatku i wybito. Gdyby się dwór dowiedział, jakie przemiany przebyłem i jak te moje przemiany zostały wyprane i wytrzepane, wytopionoby ze mnie wszystko sadło i użytoby mnie na smarowidło do butów; dopiekanooby mi ostrymi przekąsami tak długo, ażbym się zamizerował jak

suszona gruszka. Wyraźnie mnie szczęście opuściło, odkąd fałszywie przysięgłem przy »prymerze.« Na poczcwiłość, gdybym mógł kruchsze mieć serce, go-tównym uczynić akt skruchy.

Wechodzi pani Kwikli.

Któż tu znowu przysłał waćpanię?

Pani Kwikli. Obie strony do usług waszej wielmożności.

Falstaf. Niech djabli porwą jedną stronę i jej rodzoną siostrę drugą! tym sposobem żadna nie będzie miała krzywdy. Wycierpiałem z ich łaski więcej, niż ułomna natura ludzkich sił wytrzymać zdolna.

Pani Kwikli. A onez nie cierpiały? Niestety! miały i one przeprawę, mianowicie jedna, to jest miss Wud. Biedna dusza, pokryta jest od zbicia czarnobłękitną barwą tak, że napróżnobyś, panie, na całym jej ciele szukał białej plamy.

Falstaf. Co mi tam waćpani prawisz o czarnej i błękitnej barwie! Ja sam, jak mnie tu widzisz, zbity zostałem na wszystkie kolory tęczy i mało brakowało, żem nie został przyaresztowany jako czarownica z Brentfordu; dziwna tylko przytomność mego dowcipu i zręczność w udaniu poruszeń starej baby ratowała mnie od tego; inaczej, lotr konstabel byłby mnie był jak czarownicę zapakował, gdzie raki zimuują.

Pani Kwikli. Sir Dżonie, muszę w pańskim pokoju sam na sam z panem pomówić; dowiesz się, jak rzeczy idą; a że będziesz kontent, za to ręczę. Mam tu list, który cię bliżej w tem objaśni. Pocziwe dusze, ileż to biedy użyć trzeba, żeby was połączyć! Jedno z was musiało chyba niebu coś przeszkrobać, że się wam tak nie wiedzie.

Falstaf. Pójdźże waćpani.

Wychodzą.

SCENA SZÓSTA.

Tamże.

Wchodzą: Oberżysta i Fenton.

Oberżysta. Nie mów do mnie, panie Fenton; głowa moja nie do mnie należy; wszystkiego się wyrzekam.

Fenton. Posłuchaj tylko; pomóż mi w mym planie, A ręczę słowem szlacheckiem, że zyskasz Sto funtów więcej nad to, coś utracił.

Oberżysta. Słucham cię, panie Fentonie, i w najgorszym razie ręczę ci za moją gębę.

Fenton. Różnymi czasy jużem ci powiedział, Jak bardzo kocham piękną Annę Paż, I jak to dziewczę (o tyle, o ile Wolno jest własnem sercem swem rozrządzać), Miłości mojej odpowiada. Teraz Odbieram od niej list szczególnej treści I dziwnie śmiesznej. Przedmiot tego listu Tak jest z zamiarem moim połączony, Że pojedynczo, jak jedno tak drugie, Opowiedziane nie byłoby jasnem. Tłusty nasz Falstaf gra tu główną rolę, Jak się przekonasz o tem z tego listu. Słuchaj, kochany gospodarzu: dzisiaj Koło północy znajdować się będzie Moja Anusia pod dębem Hernego, Niby królowa elfów; w jakim celu, Dowiesz się z tego listu. W tem przebraniu, Podczas gdy inny jeszcze żart pocieszny Będzie się tamże odbywał, ma ona Z rozkazu ojca wymknąć się z Slenderem I w Eton wziąć z nim ślub. Przystała na to. Posłuchaj dalej: Matka małżeństwu temu wręcz przeciwna I obstająca za doktorem Kajus,

Postanowiła, ażeby ją tenże, Podczas, gdy wszystkich umysły czem innym Będą zajęte, także milczkiem wykradł, I w dziekaniji, gdzie ksiądz ma już czekać, Skrycie zaślubił. Uległa pozornie Żądaniu matki, przystała i na to.

Uważaj teraz:

Ojciec chce, żeby była cała w bieli, I kiedy Slender poznawszy ją po tem Ubraniu, trąci ją z lekka i wezwie, Aby z nim poszła, ma z nim pójść natychmiast. Z drugiej zaś strony matka, chcąc ją lepiej Wydatną zrobić swemu doktorowi, (Bo wszystko ma być przebrane i w maskach,) Żąda, ażeby miała strój na sobie Jasnozielony i wstęgi u włosów.

Doktor sposobną upatrzywszy chwilę, Ma ją uszczyplnąć w ramię; gdy to robi, Przyrzekło dziewczę pójść z nim bez oporu.

Oberżysta. I kogoż zwodzi? Czy ojca, czy matkę?

Fenton. Ojca i matkę razem, przyjacielu, Bo ze mną ujdzie. Idzie tylko o to, Ażebyś nam ty do bocznej kaplicy

Na wpół do pierwszej tytułem małżeństwa Któryby prawnym tytułem małżeństwa Związek serc naszych uroczyście stwierdził.

Oberżysta. Żgoda; przywódcie do skutku swój fortel, Niech jeno panna będzie u ołtarza, A ręczę za to, że księdza nie zbraknie.

Fenton. Dozgonną za to wdzięczność moją zyskasz Obok nagrody, którą już przyrzekłem.

Wychodzą.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

Izba w gospodzie pod Podwiązką.

Falstaf i pani Kwikli.

Falstaf. Proszę, nie szwargocz mi już waćpani; idź — dotrzymam słowa. Będzie to po raz trzeci: dobrze; mam nadzieję, że nieparzysta liczba lepiej mi posłuży. Idź, idź. Powiadają, że nieparzysta liczba ma święty wpływ przy urodzeniu, przy ważnych wypadkach życia i przy zgonie. — Bądź waćpani zdrowa.

Pani Kwikli. Postaram się panu o łańcuch i zrobię, co tylko będę mogła, żeby mu się parą rogów przysłużyć.

Falstaf. Ruszaj do licha! a ostro! głowa do góry!

Wychodzi pani Kwikli. — Wchodzi Wud.

Jak się masz, mości Strugu? — Mości Strugu, dzisiejszej nocy musi się wszystko skończyć, albo nigdy. Bądź tylko o północy pod dębem Hernego, a dziwne rzeczy zobaczysz.

Wud. Nie poszedłeś wczoraj do niej, panie, podług umowy?

Falstaf. Poszedłem do niej, mości Strugu, jak mnie tu widzisz, starym rażnym chłopcem, a wróciłem od niej, starą zbitą babą. Ten wściekły łotr, jej mąż, ma w sobie takiego czujnego djabła zazdrości, jaki jeszcze nigdy w postrzelonej głowie nie siedział. Wystaw sobie: ten opętaniec zbił mnie na kwaśne jabłko — pod postacią niewiasty, ma się rozumieć, bo pod postacią mężczyzny nie boję się Goltata z tkackim nawojem, wiedząc o tem dobrze, że życie ludzkie niczem innym nie jest jak czółtenkiem. — Pilno mi: odprowadź mnie kawałek, a opowiem ci

wszystko ze szczegółami. Odkąd przestałem skubać gęsi, strzelać baki za szkołą i cygom nogi podstawić, nie wiedziałem do dnia dzisiejszego, co to jest dostać po grzbiecie. Pójdź, pójdź, opowiem ci zabawne rzeczy o tym łotrze, Wudzie; ale tej nocy zemszczę się na nim i żonę jego oddam w twoje objęcia. Odprowadź mnie; niestworzone się rzeczy święcą, mości Strugu! Opowiem ci wszystko, tylko pójdź.

Wychodzą.

SCENA DRUGA.

Zwierzyniec windsorski.

Wchodzą: Paź, Szallow i Slender.

Paź. Chodźcie, chodźcie; przyciżmy się w zamkowym dole i czekać będziemy, rychło się ukażą światelka naszych elfów. Synu Ślenderze, pamiętasz o mojej córce?

Slender. Ta jużci; mówiłem z nią i umówiliśmy między sobą hasło, po którym się mamy poznać. Ona będzie białą ubrana; jak się zbliżę do niej i powiem »fike«, ona mi odpowie »mik«; po tem się poznamy odrazu.

Szallow. Dobrze to jest, ale na cóż koniecznie »fik, mik« po białej sukni i tak ją poznasz. — Dziesiąta już wybiła.

Paź. Niekoniecznie; światła i duchy dobrze się będą odznaczać. Niebo sprzyja naszemu zamiarowi. Nikt nam go za złe nie weźmie, chyba jeden szatan, a tego łatwo rozeznamy po rogach. Idźmy zająć nasze stanowisko. Wychodzą wszystkie trzej.

SCENA TRZECIA.

Ulica w Windsorze.

Wchodzą: Pani Paź, pani Wud i doktor Kajus.

Pani Paź. Pamiętaj, doktorze, że moja córka ma

suknię zieloną; skoro znajdziesz sposobność, weź ją za rękę i dalej z nią do dziekanji! Uwińcie się tam prędko. Idź teraz prosto na miejsce umówione; my dwie musimy iść razem.

Kajus. Za wi, so za ma robiś. Adico.

Odcodzi.

Pani Paź. Bądź zdrów, doktorze! — Mój mąż nie tyle się cieszyć będzie z konfuzji Falstafa, ile się zżymać będzie, jak się dowie o połączeniu naszej córki z doktorem. Ale mniejsza o to; lepsza trocha fochów niż wieczne wyrzuty.

Pani Wud. Gdzież jest Anusia ze swoim orszakami elfów i sylfów? i ten walijski djabeł Ewans?

Pani Paź. Wszystko to siedzi przycupnięte w dole tuż przy dębem Hernego; z pozakrywanymi światłkami, które nagle zabłysną, jak tylko się zjeździemy z Falstafem.

Pani Wud. Nie może się nie przestraszyć na ten widok.

Pani Paź. Jeżeli się przestraszy, wyśmiany będzie; jeżeli się nieustraszonym okaże, pośmiewisko i tak go nie minie.

Pani Wud. Nie będzie to za gruba zdrada?

Pani Paź. Błaha naprzeciw tak grubej szkarady.

Kto takich zwodzi, nie popełnia zdrady.

Pani Wud. Godzina umówiona zbliża się; do dębę więc! do dębę! Wychodzą.

SCENA CZWARTA.

Zwierzyniec windsorski.

Wchodzą: Sir Hugo Ewans, Elfy i Sylfy.

Ewans. Za mną, elfy i wy sylfy, za mną! pacznoszcz na fasze role! pączcie śmiało, proszę was. Trepczcie trop f trop sa mną! a jak ja fam dam hasło, srupczcie jak ja pofieszał. Dalej za mną! try! try! Wychodzą.

SCENA PIĄTA.

Tamże. Pod dębem Hernego.

Wchodzi Falstaf w rogach jeleni.

Falstaf. Zegar windsorski wybił dwunastą; stanowcza chwila zbliża się. Wspierajcież mnie teraz, o namietni bogowie! Przypomnij sobie, Jowiszu, jakęś dla pozyskania Europy w byka się przemienił; miłość przypawiła ci rogi. O! potęgę miłości, która pod pewnym względem zamieniasz bydłą w człowieka; pod pewnym znowu człowiekiem w bydłę! Tak samo z miłości ku Ledzie, łabędziem zostałeś, Jowiszu. O, wszechwładca miłości! jak blizkim był przez ciebie władca bogów gęśiej postaci! — Ów pierwszy grzech zrobił cię bydłkiem; wstydz się, Jowiszu! zgrzeszyć jak bydłę! Drugi przedzierzgnął cię w ptaka — wstydz się, Jowiszu! w ptaka graniczącą z najgłupszym! Jeżeli bogowie mają krew gorącą, jakąż mieć mają biedni ludzie? Co do mnie, jestem jeleniem windsorskiego parku, i to podobno najtłuszciejszym w całym lesie. Ześlij mi chłodny czas na bekowisko, o Jowiszu! — inaczej nie będzie mnie nikt mógł zganić, jeżeli tu z funt krasy zostawię. — Ktoś się zbliża — łaniaż to moja?

Wchodzą: pani Paź i pani Wud.

Pani Wud. Sir Dżonie! czy to ty, mój zwierzu, mój samczyku?

Falstaf. Tyżeś to, moja łania z czarnym kwiatkiem? Niech teraz niebo dżdży konfiturami, niech grzmi kufłową melodią, niech mnie zasypie biszkoktowym gradem i śniegiem z samych galaret; niech na mnie spuści nawalnicę wszelkiego rodzaju tentacji — schronienie moje tu! Obejmuję ją.

Pani Wud. Pani Paź jest tu ze mną, kochanie.

Falstaf. Podzielcie się ze mną jak darowanym jele-

niem. Comber i obie ćwiartki dla was, boki zachowuję dla siebie; narogi przekazuję leśniczemu a rogi waszym mężom. Nie kompletnyż ze mnie borowiak? he? nie mówię jak prawdziwy strzelec Herne? Tym razem Kupidyn jest sumiennem dzieckiem: naprawia w czem zawinił. Mojemi jesteście, i nikt mi was wyrzec nie zdoła.

Hałas za sceną.

Pani Paź. Nieba! cóż to za hałas?

Pani Wud. Przebacz nam, Panie, nasze grzechy!

Falstaf. Cóż to być może?

Pani Wud i pani Paź. Uciekajmy! uciekajmy!

Wybiegają.

Falstaf. Szatan, jak widzę, nie chce mojego potępienia z obawy, aby olej we mnie będący nie wzmógł w piekle pożaru; inaczej nie wchodziłby mi tak w drogę.

Wechodzi sir Hugo Ewans w postaci Satyra; pani Kwikli i Pistol; Anna Paź w postaci królowej elfów, mały Wiljam i kilka innych osób przebranych za elfów i sylfów ze stoczkami zapalonymi na głowach.

Pani Kwikli. Elfy zielone, białe, burc, ryżę,
Miesięcznych nocy widma, cienie chyże,
Twardych przeznaczeń opuszczone dzieci,
Baczcie, co wasza władza wam poleci. —
Heroldzie! zmaglij sylfów do milczenia.

Pistol. Sylfy, sza! cicho, powietrzne stworzenia!
Ty, »świerszczu«, przejrzyj windsorskie kominy,
Gdzie na ognisku znajdziesz szumowiny,
Tlejące węgle, niesprzątnione śmiecie,
Tam póty czeladź szczyw, aż je zamiecie;
Bo nasza pani, najczystsza na ziemi,
Plugastwem brzydzi się i plugawemi.

Falstaf. To sylfy! kogo zocza, ten przepada:
Plackiem położyć się, najlepsza rada.

Kładzie się twarzą do ziemi.

Ewans. Kdzie »Pąk?« Idź w samek, a kdzie znaj-
[dziesz dziefkę,

Która zmóiała przet szen modlitefkę,
Usmierz jej pystry orkan fyoprażni,
I niech płokiego jej suu nicz nie drażni;
Ale kdzie która ma fe sźnie myśl przytki,
Szczyp ją f pierz, f piotra, f pok, huda i lytki.

Pani Kwikli. Wskróś, wzdłuż i w poprzek, w krąg,
[w lewo i w prawo

Windsorski zamek przebieżcie obławą;
Niech przez wasz czynny wpływ każda komnata
Nienaruszenie trwa do końca świata
W świętej ozdobie, i niech godną będzie
Swej pani, a ta jej. Rozlejcie wszędzie
Balsamy, dobre przewodniki zdrowia,
Na starożytnie krzesła i wezgłowia. —

Niech żadne plamy, żadne rdze i szcerby
Nie każą sprzętów z szlachetnymi herby.
A wy, cne elfy łak, z miesiąca wschodem
Krańcie spiętnym w podwiązkę korowodem:
Barwa podwiązki tej ma być zieloną,
Zieleńszą niż pół umajone łono,

I „*hony soit qui mal y pense*“ liścimi
Szmaragdowymi, wspaniałemi kiścimi
Błękitnych, białych, purpurowych kwiatów
Wyszyjcie na jej tle! nakształt szkarłatów,
Szafirów, pereł, wstęgą przepłataną
Zdobiących zgięte rycerza kolano.

My elfy myśl swą kwiatami tłumaczym. —
Dalej! rozlećcie się! ale wprzód, zaczem
Kur zmilknie, według zwyczaju starego
Odbądźmy tany pod dębem Hernego.

Ewans. Proszę waz, słątrzcie fiencę waszych rąk,
I uszykujcie się porządnie f krąg.
Płętne okniki, swietrząsze robaszki
Opiaśniacz pędą fam fasze ikraszki.
Ale stój! fietrzyć tu siemskie jestestfo,

Falstaf. Chronicie mnie nieba! ta walijska wieszczka
Gotowaby mnie w kawał serca zmienić.

Pistol. Nędzny robaku, skazan na nicestwo!

Ewans. Przyłurcie mu do palców szar rupierczy:

Jeżeli szysty, okien nie zaskfierczy,

I nie uszkodzi go; jeśli na opak:

Dofót miecz pędziem, że to prutny ropak.

Pistol. Próbiejko!

Ewans. Czy tesz ten kloc szę poruszy?

Elfy przytykają mu stoezki do palców.

Falstaf. Uf! uf! uf!

Pani Kwikli. Zepsuty, żądzą skalany po uszy!

Nuże go, elfy, szyderstwem obsypcie,

I nucąc, skacząc, skubiecie go i szczypcie.

Ewans. Zrupcze tak, bo hon jezd zapraftę pełny
łupieżnoszczy i borupstfa.

Śpiew.

Hańba grzesznej wyobraźni!

Hańba chuci i rozpuscie!

Chuć jest tem, czem żągiew w chruście,

Mysł ją jak wiatr żarzy, drażni,

Aż ją zmieni w płomień chyży,

Sięgający coraz wyżej,

Dalej, sylfy, dalej, wieszczki,

Szczypcie go swojemi kleszczki,

Szczypcie go, parzcie, póki z zorzą jasną

Świeczki i miesiąc i gwiazdy nie zgasną.

Podczas śpiewu szczypią Falstafa elfy i sylfy. — Doktor Kajus wchodzi z jednej strony i wymyka się z zieloną wieszczką; z drugiej wchodzi Slender i wynosi się z białą; wchodzi narazcie Fenton i wprowadza Annę. Odgłosy łowów za sceną słyszeć się dają. — Elfy i sylfy uciekają. — Falstaf zdejmując z głowy jeleni wieniec i powstaje.

Paż i Wud, pani Paż i pani Wud wchodzi i przytrzymują go.

Paż. Stój, zwierzu, i już nam nie ujdiesz tym razem.
Czyliż nie znajdziesz po Hernem nikogo
Coby ci gratkę ułatwił?

Pani Paż. Daj pokój.

Niechaj już będzie dosyć tego żartu. —

I cóż, sir Dżonie, jakże teraz starą

W twojej opinii windsorskie kobiety? —

Patrzcie, panowie, czy ten piękny wieniec

Nie lepiej lasom przystoi niż miastu?

Wud. No, mości rycerzu, któż jest teraz roga-
czem? — Mości Strugu, z Falstafa cymbał, rogaty
cymbał; oto jego rogi, mości Strugu; nie oberwał
on nic z tego, co do Wuda należy, prócz kosza, ki-
jów i dwudziestu funtów w złocie, któreto dwa-
dzieścia funtów muszą ci być zwrócone, mości Strugu;
na koniach jego już jest tym końcem położony
areszt, mości Strugu.

Pani Wud. Sir Dżonie, gwiazda miłości nie była nam
przyjazną; nie mogliśmy się zbliżyć ku sobie. Jako
żołotnik musisz z mego serca ustąpić, ale jako zwierz
żywo w pamięci mojej pozostaniesz.

Falstaf. Zaczynam się domyslać, że mnie wykiero-
wano na osła.

Wud. I na wołu; czego dowód mamy pod ręką.

Falstaf. Więc to nie były elfy! Trzy czy cztery ra-
zy przechodziło mi przez głowę, że to nie elfy; ale
nieład mego umysłu, odurzenie moich władz, zamie-
niło ten domysł wbrew zdrowemu rozsądkowi i do-
tykalnemu prawdopodobieństwu w najmocniejsze
przekonanie, że to nie co innego jak elfy. Patrzcież
państwo, jak łatwo dowcip może się obłąkać, kiedy
jest na zle użyty.

Ewans. Sir Dżon Falstaf, słurz Poku, pospącz sze
porzątlivoszczy, a elfy nie pędą czę szczypacz.

Wud. Dobrze mówisz, elfie Hugo.

Ewans. Ha, waspan, pospącz sze sastrosczczy, pardzo
proszę.

Wud. Nie będę miał odtąd w podejrzeniu mojej żony, chyba aż ty dobrą angielszczyzną zaczniesz się do niej zalecać.

Falstaf. Czym ja mój mózg wystawił na słońce i wysuszył go, żem nie mógł uniknąć tak wielkiego ogapienia? Trzebaż jeszcze, ażeby się ze mnie walijska koza naśmiewała! Niczego mi już nie brak, tylko, żebym się kawałkiem gnojonego sera udławił.

Ewans. Zyr nie jezd dopry na mazło; waspanski przuch jezd trzysta faza mazła.

Falstaf. Fasa masła! Do tegoż to już przyszło, że jestem igraszką barbarzyńca, który angielszczyznę targa jak kluski! To jedno wystarczyłoby do wygnania wszelkich żądź z obrębu całego królestwa.

Pani Paź. Myśliszże, sir Dżonie, że choćbyśmy byli nawet z wszelkiego uczucia cnoty się wyzuły i piekłu się na oślepi oddały, sam djabeł byłby cię był zdołał zrobić naszym pieścidełkiem?

Wud. Taki plumpudyng? taki wór konopiany?

Pani Paź. Takie purchatkowe stworzenie?

Paź. Stare, zimne, szszarżane?

Wud. I złogębne jak szatan?

Paź. A biedne jak Job?

Wud. I bezbożne jak jego żona?

Ewans. I hottane pirpanterji, lamparterji, furfanterji, luszytkom, pijatykom, hulatykom, finom, pifom, miotom, purtom i furtom.

Falstaf. Służę wam za tekst; niech i tak będzie; macie nademną przewagę; zdetonowany jestem; nie jestem nawet w stanie odpowiedzieć tej walijskiej flaneli: głupota nawet kółki mi struga na głowie. Róbcie ze mną, co wam się podoba.

Wud. Nie zrobimy ci, panie, nic więcej, tylko cię zaprowadzimy do Windsoru, do niejakiego Struga, któremu wyludziłeś pieniądze i podjąłeś się raffurować. Nad wszystko, coś wycierpiał, panie, zwrot pieniędzy ciężej ci podobno dokuczy.

Pani Wud. Nie, drogi mężu, daruj mu tę kwotę
Za krzywdy, których doznał i niech wszyscy
Po przyjacielsku z sobą się rozstaną!

Wud. Zgoda! niech przeszłość będzie zapomniana!
Podaj mi rękę, rycerzu.

Paź. Bądź dobrej myśli, sir Dżonie; zapraszam cię do siebie na posset, przy którym będziesz się mógł zemścić na mojej żonie i naśmiać się z niej tak, jak się ona z ciebie naśmiała. Powiesz jej, że Slender ożenił się z jej córką.

Pani Paź. Doktorzy powątpiewają o tem. Jeżeli moja córka jest Anna Paź, to w tej chwili jest doktorową Kajus.

Wbiega Slender.

Slender. Gdzie ojciec Paź? Ojciec Paziu!

Paź. Cóż tam, synu? coż mi obwieścisz? Czyś się już odbył?

Slender. Piękniem się odbył! — Wszyscy uczciwi ludzie w hrabstwie Gloster dowiedzą się o tem, chociażbym miał wisieć.

Paź. O czem, mój synu!

Slender. Przybywam do Eton, żeby zaślubić pannę Annę, a panna Anna ogromny chłop drażał. Gdyby to nie było w kościele, byłbym mu dał pamiątkę albo bym ją był dostał od niego. Niech żadnym członkiem nie ruszę, jeżeli nie myślał, że to panna Anna, a to był z poczty parobek.

Paź. Jako żywo! musiłeś się więc pomylić.

Slender. Co mi tam o tem prawicie, musiałoć tak być, skorom wziął chłopca za dziewczynę. Choćbym się był z nim ożenił na mocy jego kobiecego pozoru, przecieżbym go był nie mógł posiadać.

Paź. Nikt temu nie winien, tylko twoja głupota. Nie powiedziałem ci wyraźnie, jak masz córkę swoją po ubiorze rozpoznać?

Slender. Ej, ba! przyszedłem do postaci biało ubranej i rzekłem: *sik*, a ona odpowiedziała *mik*, tak ja-

kem się był z Anną umówił; a jednak to nie była Anna, tylko parobek.

Ewans. Jesus Marja! pan Slender! trzy wazpau zlepy, rzepy sze rżenicz s chłopem?

Pani Paź. Nie gniewaj się, drogi Grzegorz. Wiedziałam o twoim projekcie, ubrałam Andzię zielono i teraz jest ona już pewnie żoną doktora.

Wchodzi doktor Kajus.

Kajus. Ksie miss Paź? *Par Dieu!* żestem dupé; osze-niłem sze z un klop, z un garcon, z un paysan. *Par Dieu!* z un klop. To nie bila Anna Paź; *par Dieu!* żestem dupé.

Pani Paź. Jakto, doktorze? nie wzięłeś tej, co była w zielonej sukni?

Kajus. *Par Dieu! oui;* a to bil klop. Idę alarmować sali Windsor. Wychodzi.

Wud. Rzecz dziwna! któż tedy ma prawdziwą Annę?

Paź. Przeczuwa to moje serce. Oto pan Fenton.

Wchodzi: Fenton i Anna Paź.

Mości Fentonic —

Anna. Przebacz mi, drogi ojczu, droga matko! —

Paź. Dziewko, dlaczegoś nie przyszła ze Slenderem?

Pani Paź. Dłaczegoś z panem doktorem nie przyszła?

Fenton. Pozwólcie, że ja na to wam odpowiem.

Chcieliście córkę zmarnować, chcieliście
Wydać ją za mąż za ludzi, z którymi
Żaden stosunek miłości być nie mógł.
Dowiedzciec się więc, że to lube dziewczę,
Którego serce dawno już posiadam,
Jest od tej pory ze mną połączone
Nierozzerwalnym na tym świecie węzłem.
Jej uchybienie uzacnia akt święty,
I krok ten traci nazwisko podejścia,
Nieuległości, pogwałconych względów,
Bo ją uwalnia i chroni od pasma
Sprzecznych z naturą, oplakanych godzin,
Które mi groził jej przymus małżeństwa.

Wud. Nie utyskujcie: niema tu już środka,
W miłości niebios wpływ nieunikniony:
Pieniądze dają chleb, los daje żony.

Falstaf. Cieszę się, że wasze pociski, chociaż głównie
we mnie wymierzone, nie zupełnie w sedno trafiły.

Paź. Cóż czynić? Niech wam błogosławią nieba!
Czego nie można ująć, to przyjąć trzeba.

Falstaf. Kiedy się nocą odbywają łowy,
Łowi się równie zwierz czarny i płowy.

Ewans. Pędę na fasze wezele tańtrzyz i jeszcz
słifki.

Pani Paź. Nie mogę się już gniewać, panie Fenton.
Niechaj wam niebo długich lat i długich
Pociech użyczy! — Wracajmy do domu,
Tam przy kominku wszyscy wraz z sir Dżonem
Śmiać się będziemy z przebytych dziś przygód.

Wud. Zgoda. — Sir Dżonie, to coś w dobrej wierze
Przyrzekł Strugowi, spełni się niezwłocznie:
W miss Wud objęciu dziś on jeszcze spocznie.

Wychodzą.

KONIEC.



117 226

Najtańsze polskie wydawnictwo:

BIBLIOTEKA POWSZECHNA
ZUKERKANDLA.

Dotychczas wyszło

1035 numerów.



Każde dzieło

osobno do nabycia.

Na składzie w księgarniach.

SZCZEGÓŁOWE KATALOGI NA ŻĄDANIE DARMO I OPLATNIE.

NAJNOWSZE TOMIKI:

1019-1020. Aleksander hr. Fredro, Nowy Don Kiszot czyli Sto szaleństw. Krotkoczwila w 3 aktach, wierszem ze śpiewami.

1021-1023. Szymon Szymonowicz, Sielanki.

1024-1025. Józef Korzenłowski, Okrężne. Komedja w dwóch aktach.

1026-1028. Szekspir, Figle kobiet. (Wesołe kumoszki windsorskie). Komedja w 5 aktach, przekład Józefa Paszkowskiego.

1029. Juljusz Słowacki, Genetis z Ducha. Modlitwa.

1030. Adam Mickiewicz, Jakób Jasiński albo Dwie Polski. Fragment tragedji 5-aktowej, napisany po francusku a oddany wierszem na język polski przez Tomasza Olizarowskiego.

1031-1032. Aleksander hr. Fredro, Dwie bliźny. Komedja w 1 akcie.

1033-1034. Ću Vi parolas Esperante? Rozmówki esperancko-polskie z dziedziny praktycznego życia. Według J. Borela opracował Dr. Emil Pfeffer.

1035. Wł. Syrokomla (Ludwik Kondratowicz), Uł. Sielanka bojowa z błot Poleskich.

DALSZE TOMIKI W DRUKU.